ODGŁOSY

ROK XIX NR 25 (967) 17 CZERWCA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

DRUGA ŚWIATOWA

IWAN STADNIUK

WOJNA

W Komisariacie Ludowym Spraw Zagranicznych leżały doniesienia, w których stwierdzano, że właśnie jutro, 22 czerwca 1941, Niemcy faszystowskie dokonają agresji na Związek Radziecki. Szyfrówki informowały, jakie siły zgrupowało dowództwo niemieckie nad granicą radziecko-niemiecką.

Podobne dokumenty, tylko z mniej konkretnymi informacjami, napływały już nie raz i nie dwa, poczynając od roku 1940. Leżały szyfrówki nadesłane przez nasze wywiady — agenturalny i wojskowy, od pracowników dyplomatycznych i dowództwa wojsk ochrony pogranicza, leżały przeglądy prasy zagranicznej i radia, leżały dokumenty z doniesieniami otrzymane różnymi, niekiedy nieprzewidzianymi kanałami. W wielu takich dokumentach wskazywano na zbliżającą się agresję niemiecką i na dokładny termin jej rozpoczęcia. Termin ten jednak minął. Burza się nie rozpętała...

Dalszy ciąg na str. 3

PRZEMIANY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

PONIEDZIAŁEK W BEŁCHATOWIE

Poniedziałek, 17 maja 1976 roku.

— Bardzo nie lubię zaczynać w poniedziałki — powiedział kierowca i miał rację. Najpierw w Pabianicach było przyjęcie towaru na stacji benzynowej CPN. Trzeba było więc wrócić się do najbliższej stacji, którą myśmy już byli minęli. Czas szybko uciekał. I nim wyjechaliśmy z Pabianic przydybała nas milicja drogowa. Radar pokazał, że przekroczyliśmy 60 km na godzinę. Kiedy kierowca uiszczał mandat, od strony Bełchatowa również z nadmierną szybkością mknął czekoladowy autobus. Już się nawet ucieszyłem, że nie tylko nas przydybała milicja drogowa, ale okazało się, że moja radość była przedwczesna. Wprawdzie autobus też jechał z szybkością przekraczającą 60 km na godzinę, ale był to autobus... milicyjny. Więc sobie pogadali tylko, a myśmy pojechali w stronę Bełchatowa pilnie bacząc, aby znów nas nikt nie zatrzymał.

— **A mówiłem** — mruczał kierowca — **aby nie zaczynać w poniedziałek** — i znów miał rację, bo zastępca naczelnika miasta i gminy Bełchatów czekał na nas już przeszło 30 minut i był bardzo zdenerwowany. Kiedym się wreszcie zjawił w Urzędzie Miasta i Gminy Bełchatów, zastępca naczelnika spojrzał na mnie nieprzychylnie i stwierdził bezapelacyjnie, że teraz już nie ma czasu, bo on lubi punktualność. Kto jej nie lubi.

— **No i co?** — skwitował kierowca — **nie mówiłem? W poniedziałek nie należy nic zaczynać.**

Ale tym razem nie miał racji, bo w poniedziałek jest w Bełchatowie targ.

Dalszy ciąg na str. 5

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

HIPPIES GO HOME!

(KORESPONDENCJA Z HOLANDII)

Zwiedzając Christianię poznałem człowieka, który przed paroma tygodniami uciekł z Amsterdamu, mając na sobie wyrok śmierci. Był podobno synem zamożnego inżyniera. Dwa lata studiował filozofię. Wpadł w kłopoty przez dziewczynę, która utrzymywała kontakt z chińskim gangiem opiumowym. Rozpiął przede mną koszulę z niebieskiego teksasu i pokazał mi trzy głębokie blizny w okolicy serca.

Powiedział:

— **Ping-pongi obskoczyły mnie w Szczyglim Zaułku i trach! trach!**

— Za co?

— **Nie pytaj.**

— Tu cię nie znajdą?

— **Nie.** — I nagle wpadł w zachwyt: — **Christiania jest rajem! W Christianii są prawdziwi bracia!**

Z dalszej jego relacji wynikało, że Amsterdam został całkowicie opanowany przez elementy przestępcze, ludzi, którzy poza włosami i strojami nie mają z ideowym ruchem hippiesów nic wspólnego. Rockersi, bandyci, sutenerzy, gwałciciele, agresywne odmiany homoseksualistów w czarnych kombinezonach ze swastyką — wszystko to sprawia, że Holendrzy siedzą o zmroku w zaryglowanych domach, pozostawiając ulicę **ANIOŁOM PIEKŁA I DZIECIOM SZATANA.**

2.

Kiedy jechałem pociągiem do Londynu i mijałem niemiecko-holenderską granicę, pojawili się w przedziale

Dalszy ciąg na str. 6

KILKA SŁÓW O POSTAWACH

Ostatnio brałem udział w kilku zebraniach, które tematycznie związane były z uchwałami III Plenum KC partii. Przebieg tych spotkań, atmosfera, nie miały nic z tzw. przenoszenia plenum na niższy szczebel. Uchwały ostatniego posiedzenia Komitetu Centralnego są powszechnie znane. Dzięki środkom masowego przekazu społeczeństwo na bieżąco otrzymuje pełne informacje dotyczące najważniejszych wydarzeń w kraju. Ale jak zawsze, kiedy stoimy wobec wydarzeń najwyższej wagi, rodzi się potrzeba refleksji osobistej, przełożenia wymiaru państwowego na własny zakład, środowisko czy najbliższe otoczenie. Nie jest to zubożenie i uproszczenie, ale konkretyzacja, mimo iż nie dotyczy faktów materialnych, lecz postaw ludzkich.

Patriotyczne wychowanie narodu, kształtowanie postaw w duchu socjalistycznym, krzewienie ideałów humanistycznych, które są dorobkiem całej ludzkości — jest sprawą prostą tylko pozornie. Łatwe są tylko deklaracje. Miłości do ojczyzny trzeba się także uczyć, to nie tylko sprawa instynktu narodowego. Uczyć się, czyli osiągać coraz wyższy stopień samoświadomości osadzony w naszej pięknej, postępowej tradycji, widzieć swoje miejsce w dokonywanych socjalistycznych przeobrażeniach, potwierdzać to wszystko swoją postawą w życiu codziennym. I rzecz w tym najważniejsza: żeby owe postawy nie były udziałem tylko najbardziej świadomych obywateli, lecz, aby stały się własnością powszechną, wszystkich Polaków.

Jest to konieczne i możliwe, i chyba jesteśmy blisko osiągnięcia tych ideałów, do których nasz naród od kilku pokoleń zmierza. Bo jesteśmy narodem zwartym wokół socjalistycznych ideałów, wokół programu partii, który podczas dwóch ostatnich zjazdów, zarówno w sensie politycznym, jak i gospodarczo-społecznym, stał się wyrazem najszczytniejszych pragnień całego narodu, stał się jego własnością. Potwierdzają to osiągnięte pracą sukcesy, miejsce Polski w świecie, dobre perspektywy — co nie wyklucza przekonania, że czeka nas jeszcze wiele trudu i konieczności doskonalenia naszego działania.

Prawo każdego rozwoju jest takie, że osiągając coraz większy poziom spotykamy wciąż, nowe, bardziej skomplikowane problemy do rozwiązania. Bogatsi w doświadczenie radzimy sobie z nimi, ale by im sprostać musimy się zmieniać, myśleć po nowemu, doskonalić swe umiejętności, specjalizując się i jednocześnie patrzyć szeroko. I mieć świadomość, że czynimy swe dzieło w świecie podzielonym, w którym mamy swoich przyjaciół, ale także i tych — którzy od zimnej wojny zmuszeni niejako zostali do polityki odprężenia — którzy nie są naszymi przyjaciółmi i — zmieniając metody — próbują na różnych obszarach konfrontacji.

Socjalizm w Polsce narodził się w walce z siłami reakcji. Opowiedziała się za socjalizmem zdecydowana większość narodu i potwierdziła to swoją pracą. Jednakże byłoby błędem gdybyśmy nie dostrzegali owego marginesu naszego społeczeństwa, któremu są obce socjalistyczne ideały i zasady będące podstawą naszych sukcesów. Dywersja ideologiczna zagranicy powoduje w niektórych wąskich kręgach ożywienie tendencji kosmopolitycznych, postaw outsiderskich, rzekomego obiektywizmu, kpiny czy szyderstwa, próby pomniejszania naszego dorobku. Przyjmowanie takiej pozycji dialektycznie spycha tych ludzi na pozycje antynarodowe, antypolskie.

Można by o tym nie mówić, bo to margines, absurdalnie oderwany od rzeczywistości, ale mity i relikty przeszłości nie przemijają bez walki z nimi, bez ich obnażania i wyjaśniania. Tak samo wymagają zdecydowanego przeciwstawienia się niektórym cechy naszego społeczeństwa, jakie odziedziczyliśmy z przeszłości. Na określonym etapie rozwoju historycznego były to niekiedy wartości godne najwyższego uznania, świadczące o bohaterstwie, niezłomności, poświęceniu. Dziś te cechy narodowe musimy modyfikować, najlepsze ocalać, złe eliminować, wątpliwe przemyśleć na nowo. Potrzebny nam jest przede wszystkim heroizm dnia powszedniego, dobra i ofiarna praca, zwartość, dyscyplina społeczna, wiedza, konsekwencja w działaniu, wyzbycie się kompleksów, duma z osiągnięć. Musimy się także nauczyć innego stosunku do państwa, identyfikować się z nim. Nadawać odpowiednią rangę symbolom naszego bytu narodowego, jak hymn, godło, barwy, Konstytucji.

W działaniach, które podejmujemy po III Plenum KC partii te wszystkie problemy znajdują żywy oddźwięk. We wszystkich środowiskach, a więc także w środowiskach kultury, w związkach twórczych i wśród działaczy kultury, tworzących znaczące ogniwo frontu ideologicznego. Odbyło się wiele zebrań i rozmów, i nadal będą one mieć swoje miejsce w programach działania. Idee III Plenum trafiły na grunt chłonny i przygotowany. Jest ambicją również środowisk twórczych Łodzi, aby doskonaląc metody swego działania, tworzyć dalsze płaszczyzny porozumienia wśród ludzi sztuki, tak, aby ich twórczość w sposób jak najpełniejszy służyła społeczeństwu.

Mówiono o tych sprawach obszernie w dniu 14 czerwca na posiedzeniu Komisji Ideologicznej Komitetu Łódzkiego partii, która obradowała pod przewodnictwem tow. Zbigniewa Falińskiego, sekretarza KŁ. W dyskusji wzięło udział kilkunastu członków komisji i zaproszonych gości „potwierdzając — jak określił to tow. Z. Faliński — pełną gotowość przyjęcia i realizacji zadań, jakie stawiają przed społeczeństwem i partią uchwały III Plenum".

JERZY WAWRZAK

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

SPOTKANIA Z LITERATURĄ

Na żyznym Kubaniu, albo inaczej w krasnodarskim kraju zakończyły się niedawno Dni Literatury Radzieckiej. Miałem okazję brać w nich udział jako przedstawiciel pisarzy polskich. Zjazd, trzeba przyznać, był niemały. Zjechało ponad czterdziestu pisarzy radzieckich z różnych stron kraju, a więc poeci i prozaicy z Moskwy, Leningradu, Ukrainy, Białorusi, czy dalekiej Syberii, obok nich pisarze z krajów socjalistycznych, wreszcie pokaźna ekipa pisarzy Kubania. Program dni tak był obfity, że jeszcze dzisiaj nie bardzo rozumiem, jakim cudem w dobrej kondycji i samopoczuciu przetrzymaliśmy ten pasjonujący maraton.

Nasze imprezy tego rodzaju, poświęcone popularyzacji literatury różnią się nieco od tego, co widziałem na Kubaniu. U nas wysuwa się na czoło raczej książkę. Po prostu, pisarze siadają za stolikami, mają przed sobą wizytówki, żeby się czytelnikowi nie pomyliło, wypisują rozmaite dedykacje, albo powtarzają je mechanicznie, jeśli chętnych dużo, a pomysłowości nie starcza. Młodzież biega po kiermaszu i wymienia trzy podpisy poetów za jednego dobrego prozaika, jak znaczki pocztowe. Tego obyczaju na Kubaniu nie zauważyłem. Dostrzegłem natomiast bez większego trudu, że w całym Kraju Rad utrwaliła się tradycja wysuwania na czoło pisarza. Stąd właśnie spotkania z czytelnikami, z reguły bardzo udane. Ludzie walą jak w dym, lubią słuchać wierszy, a pisarz cieszy się takim uznaniem jak — mniej więcej — generał służby czynnej.

W ciągu dziesięciu dni wziąłem udział w jedenastu spotkaniach z czytelnikami, co można uznać za swoisty rekord, jeśli zważyć, że program każdego dnia, wypełniony po brzegi, przewidywał także rozmowy z przedstawicielami władz, przewodniczącymi kołchozów, dyrekcjami fabryk, rektorami i profesorami wyższych uczelni, czy działaczami na polu kultury, obejmował także składanie wieńców, wywiady prasowe, radiowe i telewizyjne, no i obfite obiady, tęgie kolacje w tej bogatej krainie chleba. Gościnność gospodarzy, bliska na ogół polskiemu sercu, to rozdział sam w sobie, podobnie rzadko spotykana kondycja przy stole. Pewni siebie goście zagraniczni odpadali w połowie konkurencji, nazywanej z reguły skromnym, zaimprowizowanym poczęstunkiem. Nie dało się tyle zjeść, ile zaimprowizowano. Warto może i to jeszcze dodać, że niemal każdy przewodniczący kołchozu to nie tylko znakomity gospodarz, ale także wyborny tenor.

Wojażowałem po najbogatszym rejonie Kubania — timoszowskim w towarzystwie poetów Sergiusza Dawidowa z Leningradu, Olega Dimitrowa z Moskwy i Laryssy Szczesnej z Iwanowo-Woznieseńska. Byli z nami na przemian pisarze Kubania Trudno mi będzie tę podróż zapomnieć, ale i przedstawić niełatwo. Ziemia kubańska jest czarna i rodzi, jak rzadko która na świecie. Trzeba sobie wyobrazić nie kończące się łany gęstej pszenicy, bezkresne pola buraków cukrowych, kukurydzy i słonecznika, płytkie stawy, w których wykluwa się ryż, winnice na słonecznych podgórzach, kilometry kwitnących właśnie drzew owocowych, czereśni i wiśni, śliw i jabłoni, rozrzucone fermy o różnych specjalnościach, stacje maszyn, składy nawozów sztucznych. Jednostka gospodarcza, kołchoz czy też sowchoz liczy niekiedy ponad dwadzieścia tysięcy hektarów, połączonych siecią najczęściej asfaltowych dróg, komunikujących się przy pomocy radiostacji i samolotów. Po drogach suną skomplikowane maszyny, wozy dostawcze i autobusy dowożące ludzi do wyznaczonych miejsc pracy. A na horyzoncie smugi drzew, sadzonych na kształt wielkich kwadratów, pomagające przy utrzymaniu odpowiedniego klimatu. Na tę żyzną ziemię spadają wiosenne śniegi — jak powiadają Kozacy — delikatny pył zdmuchiwany z drzew przez wiatr. Jako człowiek przywiązany do polskiej wsi i naszych pracowitych gospodarzy, nie mogłem się początkowo przyzwyczaić do tych ogromnych fabryk chleba, masła, mięsa, cukru, przetworów owocowych i wina. Szczerze mówiąc najszybciej przyzwyczaiłem się do wina.

Spotkań odbyliśmy wiele i nie ma chyba sensu opisywać ich po kolei. Wspomnę więc tylko najbardziej charakterystyczne. W stanicy Stara Wieliczkowskaja, gdzie kołchozowi „Październik" przewodzi znakomity gospodarz Iwan Wusik (tenor — baryton), zetknęliśmy się z brygadą kobiet, które pracowały daleko od domów przy pielęgnacji buraka. Gorąco jest w maju na Kubaniu. Parowała czarna ziemia, spadły wcześniej obfite i błogosławione deszcze. Siedliśmy w cieniu drzew i gwarzyli o zainteresowaniach niejako tematycznych polskich pisarzy. I właśnie ta rozmowa o problemach a nie formach literackiej wypowiedzi sprawiła, że odnosiliśmy wrażenie jakbyśmy się znali jakieś sto lat. Jak żyją polskie kobiety, czy mogą być spokojne o dzieci, kiedy pracują, czy Łódź nie mogłaby produkować więcej sweterków i letnich sukienek. Tak jest i takie padło pytanie. „Olimpia", czy „Wólczanka", albo „Lido" to nie są obce nazwy i na Kubaniu. Czytelnik radziecki pyta z reguły o to, co się pisze, mniej go interesują problemy ściśle warsztatowe.

W Stanicy Miedwiedowskiej, gdzie mieści się siedziba kołchozu — „Droga komunizmu", oczekiwała nas młodzież. Wierszy słuchano z prawdziwym nabożeństwem, inna rzecz, że niektórzy poeci radzieccy deklamują może trochę zbyt patetycznie, jak na mój gust, w manierze Majakowskiego. Z rozmaitym zresztą skutkiem. Mnie wypytywała młodzież o takie sprawy — jakie tematy dominują w naszej literaturze dla młodych, czy bohater polskiej powieści młodzieżowej jest podobny do swojego radzieckiego kolegi. Miałem trochę kłopotów z ustaleniem podobieństwa, przecież jednak udało się nam wykryć wspólne cechy.

W kołchozie „Iskra", na terenie Stanicy Nowo-Korsuńskiej, przywitano nas chlebem i solą, orkiestrami, tańcami, z pompą godną mężów stanu, jak mi się początkowo wydawało. Ale nie, stary obyczaj, przejęty od Kozaków zaporoskich, każe tak gości witać. Ma autorytet radziecki pisarz. Przewodniczący — Mikołaj Koplenko, sam Kozak nad Kozaki, okazał się najwybitniejszym tenorem, jakiego spotkałem. Ale to dopiero wieczorem. Wcześniej, w nabitej po brzegi sali dość monumentalnego domu kultury, odpowiadałem na cały szereg pytań. Jaka proza trafia lepiej do czytelnika — ta, koncentrująca się na dziejach mas, czy ta, która akcentuje silniej los indywidualny? Jakie korzyści odnoszą literatury polska i radziecka z wzajemnych kontaktów i oddziaływań? Pytania stawiali na ogół ludzie starsi, najczęściej — rzecz charakterystyczna — byli żołnierze, którzy szli kiedyś przez nasz kraj po zwycięstwo. Nie było chyba stanicy czy futoru, gdzie by się nie zameldował nam żołnierz spod Sandomierza, Warszawy, Łodzi czy Poznania.

Specjalny charakter nosiło spotkanie ze studentami szkoły morskiej w Noworosyjsku, nad Morzem Czarnym. Pytano o szanse literatury wojennej pośród czytelników młodych, którzy nie znają tamtych krwawych dziejów. Waga literatury poświęconej wojnie z faszyzmem jest w Związku Radzieckim bardzo duża. Stale jeszcze wychodzą na jaw nowe, niekiedy bardzo dramatyczne szczegóły, dobrze leżące pod piórem, wydarzenia pojedyncze bogatsze od najbardziej fantazyjnej fikcji. Stąd wielu pisarzy radzieckich przyjmuje właśnie fakty za punkt wyjścia przy pracy nad opowiadaniem, powieścią, a nawet wierszem czy poematem. A czytelnik radziecki lubi taką literaturę. Na dobrą sprawę podczas każdego spotkania dopominano się dosyć energicznie, żeby poeci i prozaicy pisali o konkretnych ludziach, miastach, szkołach i fabrykach. Takie zamówienie społeczne zgłaszane jest z reguły pod adresem pisarzy. Jak sobie z nim radzą? Myślę, że nie najgorzej sądząc po gorącym przyjęciu z jakim się wszędzie spotykali.

LISTY

Szanowny Panie Dyrektorze
Dzielnicowego Domu Kultury Łódź-Bałuty

List Pański nie jest bynajmniej sprostowaniem mojego artykułu pt.: „Ambicje kulturalne Bałut", bo oto śmiem podtrzymywać swoje racje. Głównie zaś to, że po placówce, której Pan dyrektoruje biegają myszy zachowując się przy tym tak swobodnie, jakby nie miały się kogo, ani czego bać, a więc tym bardziej chyba bywalców. Jest to rzecz jasna tylko cząstka tego, co sobie przygotowałem w odpowiedzi na Pański list — tak nietaktowny, że i moja odpowiedź nie musi być taktowna, więc: 1. Byłoby mi niezręcznie samemu dbać o swoją popularność, toteż uważam, że Polska Ludowa zrobiła wszystko, abym nie musiał marnować na temu własnej energii, budując między innymi kierowany obecnie przez Pana Dom Kultury, a wiadomo że tego rodzaju placówki winny zatrudniać dobrych organizatorów, których zadaniem jest także upowszechnianie kultury i sztuki. 2. Złych organizatorów w domach kultury nie powinno się zatrudniać. 3. Dyrektorzy domów kultury powinni wiedzieć do czego są powołani i do czego sami mają powoływać kadrę instruktorską. 4. Bywalcami domów kultury nie powinny być na pewno zwierzęta (myślę o myszach) lecz ludzie wśród których ma być prowadzona działalność upowszechnieniowa. 5. Chociaż wiem jaka jest różnica między działalnością metodyczno-instruktażową a środowiskową — bo taki zapewne stosuje Pan u siebie podział administracyjny — wcale nie jestem za tym, aby obie odbywały się li tylko w sferze typowej biurokracji. 6. Nie jestem za takim podziałem. Nie rozumiem bowiem jak Wy możecie oddziaływać na inne placówki bałuckie pod względem metody i instruktażu, skoro działalność upowszechnieniowa kuleje. Dowód? Cytuję Panu fragment wypowiedzi Kierownika Wydziału Kultury Łódź-Bałuty, Pani mgr Alicji Ogińskiej: **„Faktem jest, że poza kilkoma formami pracy typu Piknik Bałucki, „Rodzina w klubie" — DDK nie potrafił sobie wypracować publiczności. Często imprezy nie odbywają się z powodu braku słuchaczów".** No więc dla kogo owa działalność instruktażowo-metodyczna, skoro w mającym ambicje instruktażowe Domu Kultury „imprezy nie odbywają się z powodu braku słuchaczów"?... **„Zadaniem działu metodyczno-instruktażowego** — to znowu cytat z wypowiedzi Pani mgr Ogińskiej — **jest przede wszystkim prowadzenie dokumentacji placówek, sprawozdawczość, poradnictwo i koordynacja działów DDK"** Otóż właśnie — koordynacja! Czy nie zatem także odpowiedzialność za każdą imprezę (wspólnie z dyrektorem rzecz jasna) organizowaną przez którykolwiek z działów DDK? Może inne placówki na Bałutach umiecie instruować, ale u siebie nie realizujecie widocznie owej pięknie prowadzonej pracy metodyczno-instruktażowej. Niech więc Pan odda, Panie dyrektorze, swoim współpracownikom pieniądze, którymi jak pisze Pan w liście do Redakcji, pokryli koszty mojej niepopularności, bo oni przecież mniej zarabiają od Pana. Będę usatysfakcjonowany, jeżeli Pan sam pokryje te koszty. Bo mimo wszystko Pani mgr Alicja Ogińska twierdzi nadal, że: **„Z zadań DDK wynika jednak fakt obowiązku prowadzenia wzorcowej działalności środowiskowej i z tego zadania DDK nie potrafi się wywiązać".**

Zagrajmy, drogi Panie Dyrektorze, w otwarte karty, i proszę mi przyznać, że struktura organizacyjna stosowana w prowadzonej przez Pana placówce pod nazwą Dzielnicowy Dom Kultury miałaby ręce i nogi, gdyby to był Łódzki Dom Kultury. Poza tym musi Pan także przyznać, że pod pojęciem środowisko rozumieć należy ludzi, nie zaś myszy, które oczywiście można na upartego zaliczyć do naturalnego środowiska człowieka, gdyby nie naturalny przed nimi strach ze strony większości kobiet. Zgadzam się jednak, że i myszy stanowią nieodłączną część naszego naturalnego środowiska i warto abyśmy i z nimi żyli w symbiozie. Nie jesteśmy jednak zobowiązani do organizowania im życia kulturalnego.

Ponieważ wytknął mi Pan, Dyrektorze, (uważam, że z przesadnym nietaktem), moją niepopularność jako autora, ogłaszam Pana na zakończenie swojego aktu obrony przed Pańskim nietaktem — najbardziej niepopularnym moim zdaniem organizatorem życia kulturalnego w Łodzi, co zresztą nie jest zasługą moją, bo swoim listem do Redakcji sam Pan to przecież potwierdził. Błagam Pana tylko, aby Pan w przypływie złości na siebie samego nie pozakładał w Domu Kultury przy ulicy Limanowskiego 166 pułapek na myszy, bo jeszcze wpadnie w którąś z nich owa sympatyczna myszka, z którą tak świetnie się bawiłem kiedy nie było komu czytać wierszy, ani też mówić o poezji. Z drugiej jednak strony patrząc, byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby Pańskie losy powieliły się z losami króla Popiela (chociaż nie, bo przecież Pan ma gabinet w budynku na Żubardzkiej).

Pozdrawiam Pana i myszy
A.W. MIKOŁAJEWSKI

INFORMACJE

Jubileuszowy festiwal w Połczynie

W pierwszych dniach przyszłego miesiąca odbędzie się w Połczynie-Zdroju X jubileuszowy festiwal amatorskich zespołów artystycznych Wojska Polskiego. Trwają już przygotowania do tej wielkiej imprezy. Towarzyszyć jej będą wystawy oraz koncerty w placówkach kulturalnych uzdrowiska. Na estradzie amfiteatru, parku w Połczynie-Zdroju wystąpią najlepsi artyści-amatorzy wybrani z kilkutysięcznej rzeszy działającej w licznych zespołach estradowych Wojska Polskiego.

Książki zagranicznych autorów w ZSRR

Ponad półtora tysiąca książek autorów zagranicznych o łącznym nakładzie 60 mln egzemplarzy, ukaże się w tym roku w księgarniach Związku Radzieckiego. Będą to książki najsławniejszych pisarzy zarówno klasyków, jak i współczesnych z ponad 40 państw. Co roku w ZSRR wydaje się, tłumaczone na języki narodów Kraju Rad ponad 300 pozycji autorów amerykańskich i po 150 książek pisarzy francuskich i angielskich.

Czytelnicy radzieccy najchętniej kupują wydawnictwa seryjne oraz antologię literatury obcej.

KU CZCI ŻEROMSKIEGO

Kieleccy rzeźbiarze pracują nad kolejnymi płaskorzeźbami, które ustawione będą w miejscowościach związanych z twórczością i życiem Stefana Żeromskiego. Na kamiennych rzeźbach umieszczane są krótkie, najbardziej charakterystyczne fragmenty z dzieł pisarza, poświęcone regionowi świętokrzyskiemu.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter) JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

DRUGA ŚWIATOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

IWAN STADNIUK

WOJNA

W pierwszych dniach marca tego roku nadeszła szyfrówka z relacją z rozmowy zastępcy sekretarza stanu USA, Samnera Wellesa, z ambasadorem radzieckim w Waszyngtonie, Umańskim. Ameryka także przestrzegała rząd radziecki o agresywnych planach Hitlera wobec ZSRR, o których udało się dowiedzieć jej wywiadowi... Nawiasem mówiąc komisarz ludowy spraw zagranicznych wiedział, że tenże Welles całkiem jeszcze niedawno, w lutym ubiegłego roku, przybywszy zza oceanu, jeździł między Londynem a Paryżem, Berlinem a Rzymem, prowadził tam rozmowy z szefami rządów i osobistościami z kół finansowo-przemysłowych namawiając ich do pohamowania zatargów wojskowych w Europie między „swoimi" po to, żeby stworzyć zjednoczony blok antyradziecki.

19 kwietnia na biurku znalazł się list Churchilla adresowany do Stalina, przekazany przez ambasadora Stafforda Crippsa. Treść pisma była taka: Churchill pisze w nim, że „otrzymał od agenta zasługującego na zaufanie wiarygodną informację, że Niemcy, gdy doszli do wniosku, że Jugosławia znajduje się w ich matni, to znaczy po 20 marca, zaczęli przerzucać do Polski południowej trzy z pięciu stacjonujących w Rumunii dywizji pancernych... Jego ekscelencja łatwo oceni znaczenie tych faktów".

Dwa tygodnie Stafford Cripps starał się o przyjęcie go przez Stalina lub Mołotowa. Stalin nie wiedząc, że ambasadorowi angielskiemu powierzono przekazanie mu listu od Churchilla, nie wyraził chęci spotkania się z nim i poradził Mołotowowi, żeby się od tego uchylił.

— Dopóki nie znamy prawdziwych zamiarów Hitlera, nie będziemy sobie utrudniać stosunków z nim — powiedział wówczas Stalin. — Spotkanie z ambasadorem angielskim nie zachowa się w tajemnicy. Co więcej, podejrzewam, że Anglicy umyślnie chcą pokazać Hitlerowi, że prowadzą tajne rozmowy z rządem radzieckim. Są mistrzami prowokacji. Jeśli więc już zdecydowaliśmy się na zamknięcie u siebie misji dyplomatycznych krajów zagarniętych przez Niemcy, nie będziemy wchodzić w konszachty na najwyższym szczeblu z ambasadorem państwa, które znajduje się w stanie wojny z Niemcami.

Zresztą list Churchilla nic nowego nie wnosił do tego, co wiedział rząd radziecki. „Trzy dywizje czołgów...". W napływających doniesieniach wymienia się wiele dziesiątków dywizji... Nad granicą zachodnią wzniesiono miecz. Stalin ma nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, aby zmusić Hitlera, żeby go opuścił...

W przestronnym gabinecie o łukowym sklepieniu i ścianach wyłożonych boazerią z jasnego dębu przechadzał się po dywanie i pykał z fajki niewysoki, krępy mężczyzna w półwojskowym uniformie i butach z cholewami. Twarz jego, fajkę jego znali z pewnością wszyscy ludzie na całym świecie. Pełne niepokoju zmrużenie oczu w głębokiej zadumie, suche i twardo zarysowane wargi pod siwiejącymi, rudawymi wąsami. Wydawało się, jak gdyby w wąsach uwięzła smużka dymu z fajki, a w oczach na zawsze zadomowiła się troska.

Wyglądało na to, że Stalin oderwawszy się od spraw, które go śmiertelnie zmęczyły, czekał właśnie na przyjście kogoś. Rzeczywiście do gabinetu wszedł Mołotow.

Stalin przywitał go pytającym spojrzeniem.

— Nic nowego — zrozumiawszy spojrzenia Stalina odparł Mołotow. — Dopiero co rozmawialiśmy z Berlinem, w kwaterze Hitlera odbywa się jakaś ważna narada i wszyscy są tam.

— Na komunikat TASS także nie odpowiedzieli, ani pytaniem, ani potwierdzeniem — powiedział Stalin.

— Tak, towarzyszu Stalin... Cała prasa światowa aż kipi, Niemcy zaś nawet nie opublikowali naszego oświadczenia — odrzekł Mołtow. — To nie wróży nic dobrego.

— Jeśli ani Hitler, ani Ribbentrop nie uważają za potrzebne dać chociażby wykrętnego wyjaśnienia — w słowach Stalina zabrzmiało rozdrażnienie i niepokój — w dodatku jeszcze uchylają się od spotkania z naszym ambasadorem, to jest to bardzo zły znak.

— Gazety amerykańskie i angielskie są pełne opisów naszych przygotowań do napaści na Niemcy. Podaje się szczegóły, jakieś fakty.

— A więc widzisz! — Stalin zrobił gest ręką, w której trzymał fajkę. — Jak można wierzyć ich przestrogom?.. Przestrzegają nas przed groźbą agresji, sami zaś zajmują się prowokacjami, ażeby możliwie najszybciej tę agresję spowodować.

Domysły wszakże to jeszcze nie sama prawda. Stalin więc ciągnął swe rozważania.

Foto: Archiwum

— Jeżeli więc nie jesteśmy gotowi do wojny — mówił — to musimy, najdłużej jak można, tak się zachowywać, żeby Hitler miał związane ręce... Przypuśćmy, że wiarołomnie ogwałci podpisany z nami pakt Przypuśćmy... Jak wówczas będą wyglądały Niemcy w oczach światowej opinii publicznej? — Dobrze znany, gruziński akcent Stalina zaczął pobrzmiewać jeszcze mocniej — Jak potraktują taką wiarołomność taż sama Japonia, Włochy, Rumunia, Bułgaria, z którymi Niemcy zawarły umowy? Co będą wówczas warte wszelkie układy z nimi?... Przypuszczam, jak już nieraz o tym mówiłem, że Hitler zrobi wszystko co możliwe, aby nas sprowokować, tak żeby nie Niemcy, ale Związek Radziecki uchodził przed całym światem za agresora. Wówczas może rzuci swoje armie na Wschód... Postaramy się jednak nie dać sprowokować. W związku z tym, jak wiesz, marszałek Timoszenko i nasz Sztab Generalny otrzymali polecenia.

Mołotow wstał, podszedł do biurka, przy którym siedział przygarbiony, jak gdyby dźwigający niewidzialne ciężary Stalin, i zapytał cicho:

— Czy przypuszczasz, że wojsko niemieckie nie odważy się naruszyć naszych granic?

— Nie, tak nie sądzę — po dłuższej chwili milczenia, z pewnym rozdrażnieniem odrzekł Stalin. — Po prostu nie jestem zupełnie przekonany, czy Hitler odważy się na otwartą agresję (...)

Obok cicho zadzwonił telefon wewnętrzny i Mołotow, wyrwany z głębokich wspomnień, podniósł słuchawkę.

— Co nowego? — zapytał Stalin.

— W Berlinie wciąż tak samo, a Schulenburga nie ma w mieście, posłano po niego.

— Obawiam się, że nasze starania nie mają już sensu. — W głosie Stalina zabrzmiało przygnębienie.

Mołotow milczał czując, że słuchawka telefoniczna w jego dłoni jakby się zrobiła zimna.

— Dzwonił przed chwilą Żukow... — cedząc słowa mówił Stalin. — Do żołnierzy wojsk pogranicza Okręgu Kijowskiego przeprawił się niemiecki feldfebel... — Zapanowało milczenie i Mołotow słyszał, jak Stalin, jak gdyby z pasją, posmoktał ustnik fajki. Potem głośno wydmuchując dym powiedział:

— Jeśli ów feldfebel nie jest nasłanym prowokatorem, to jutro rano Niemcy zaczną przeciwko nam działania wojenne.

Stalin umilkł. Milczał też Mołotow.

Potem trochę się jąkając spytał:

— Co będziemy robić, towarzyszu Stalin?

— Przychodź na posiedzenie Biura Politycznego. Zaraz przyjdzie Timoszenko z Żukowem.

Po rozmowie telefonicznej z Mołotowem Stalin odchylił się na oparcie fotela i zapatrzył się w przeciwległy koniec swego gabinetu. (...)

Ze wszystkiego widać było, że Stalinowi ciężko było na duszy. Wydawało się, że jeszcze nie uwierzył zupełnie w to, co się stało. A może spodziewał się cudu i czekał, że lada chwila rozlegnie się dzwonek telefonu ze Sztabu Generalnego i zameldują, że nie ma żadnej wojny, że Niemcy zorganizowali niesłychaną prowokację i że teraz trzeba będzie zażegnywać trudny, z daleko idącymi konsekwencjami, krwawy konflikt.

Podszedłszy do swego biurka Stalin zapałką oczyścił nad popielniczką fajkę..

— Tak, zabrakło czasu, przeliczyliśmy się z terminem — powiedział takim tonem, jak gdyby dopiero w tej chwili uświadomił sobie tę prawdę. — A przecież rozważaliśmy zdawałoby się dosłownie wszystko i manifestowaliśmy swoją szczerość w dążeniu do pokoju. Nie mieliśmy zamiaru na nikogo napadać i przestrzegaliśmy znanej reguły, zgodnie z którą szczerość w polityce i dyplomacji jest matką prawdy i szyldem uczciwych ludzi.. Jednakże na jakiś czas zapomnieliśmy, że oni i my mamy różne miary, wagi, różne prawdy i różne pojęcia o uczciwości... Przeliczyliśmy się też... Ale Hitler, który złamał podstępnie umowę, przeliczył się zdecydowanie we wszystkim! ...Zostanie unicestwiony!.. Jeśli nawet Hess rzeczywiście zdobył jakieś gwarancje od Churchilla, führer faszystowski nie może na nie liczyć!... Na nic! Chociaż i nam będzie bardzo ciężko...

☆ ★ ☆

Kuranty na Wieży Kremlowskiej akurat wydzwaniały za piętnaście dwunastą i nad Placem Czerwonym płynął łagodny, melodyjny dźwięk, gdy z Bramy Spaskiej wyjechały jedna za drugą dwie limuzyny z osłoniętymi szybami. W drugiej, na tylnym siedzeniu wtulony w zaciągnięte pokrowcem z białego żaglowego płótna oparcie, siedział Mołotow. Twarz miał posępną, oczy tające żar trwożliwych myśli i zatruwającą duszę gorycz, spoglądały surowo spod pince-nez. Jechał do Centralnego Telegrafu, w którego gmachu, od strony zaułka, znajdowała się radiostacja. (...).

Mołotow wzdrygnął się na myśl, że moskwianie o niczym jeszcze nie wiedzą!... A za kilka minut obwieści on krajowi, że wybuchła wojna, i wszystko wokół sposępnieje, życie zatrzyma się jak gdyby w miejscu, ażeby następnie zawrócić swój bieg w drugą, prowadzącą za próg nieznanej przyszłości, stronę!... Ileż łez wyleją oczy kobiet i dzieci!... Jakaż rozpęta się burza uczuć ludzkich!... I dla wszystkich takich młodych żon i mężów dzień ten przerodzi się w ciężki dzień smutku i rozstania, być może na zawsze...

Kiedy siedział już w studio przed mikrofonem czując na sobie poprzez kwadratową szybę operatorki wylęknione i ciekawskie spojrzenia ludzi, którzy prowadzili transmisję jego przemówienia na wszystkie rozgłośnie Związku Radzieckiego, kiedy z przejęciem wygłaszał pełne surowej prawdy zdania piętnujące klikę krwiożerczych władców faszystowskich, wzywające naród radziecki do zwarcia szeregów i jedności, ażeby zapewnić zwycięstwo nad wrogiem, przypomniały mu się wesołe i beztroskie twarze tych młodych robotników, chłopców i dziewcząt z ulicy Gorkiego... Tak, mają czego bronić przed ciemiężcami... Ostatnie zdanie wygłosił jak manifest wiary, która w ostatecznym rachunku ma prawo tylko do tryumfu: „Nasza sprawa jest słuszna. Wróg zostanie rozgromiony. Nasze będzie zwycięstwo".

Przełożył:
WALDEMAR KIWILSZO

(„Literatura na świecie" nr 5).

NIE TYLKO HISTORIA

WAŻKA PRÓBA SYNTEZY

Niedokończona, bo zmarły w 1972 r. badacz dziejów społecznych i politycznych XIX w. Marian Żychowski nie zdążył napisać jej do końca. Po opublikowaniu monografii o Ludwiku Mierosławskim i książki o Bolesławie Limanowskim historyk pokusił się o dzieło niezmiernie ambitne. Wychodząc naprzeciw społecznej potrzebie postanowił sam jeden, nie czekając na utworzenie jakiegoś specjalnego zespołu badawczego, napisać syntetyczny zarys dziejów polskiej myśli socjalistycznej, obejmujący jej rozwój od czasów najdawniejszych, od utopijnych koncepcji socjalistycznych XIX wieku, po próg współczesności, mianowicie do zjednoczenia ruchu robotniczego w 1948 r. Szybko przystąpił do pracy i partiami dostarczał do wydawnictwa tekst dzieła. Zdołał napisać znaczną część zamierzonej całości, bowiem doprowadził swe rozważania do 1918 r. Nie uważał nawet tej, już napisanej części syntezy, za ostatecznie opracowaną: myślał o wprowadzeniu pewnych przeróbek, rozwinięciu egzemplifikacji, rozszerzeniu niektórych fragmentów. Szybko postępująca choroba wyrwała go z tej pracy. Dobrze się jednak stało, że Wydawca — a jest nim Redakcja Historii Państwowego Wydawnictwa Naukowego — nie odłożył dostarczonego mu niepełnego i wstępnego przecież maszynopisu do lamusa spraw niezrealizowanych i zdecydował się na ogłoszenie tego, co Marian Żychowski zdołał napisać w postaci książkowej.

Myślę też, że dobrze się również stało, iż Wydawca nie poszedł po linii najmniejszego oporu, jaką w takich wypadkach jest powierzenie niedokończonego tekstu zmarłego autora któremus z innych specjalistów. Chodziło przecież o zachowanie indywidualnej koncepcji Mariana Żychowskiego, o przekazanie obrazu, który ukształtował się w umyśle uczonego w wyniku badań i przemyśleń nawet wówczas, kiedy prezentowany pogląd nie mógł się doczekać obszerniejszego autorskiego wyjaśnienia. Bo przecież historykowi chodziło w tej książce o bynajmniej niebagatelne racje, o przeinterpretowanie poglądów, które uważał za błędne, o sformułowanie twierdzeń nieraz niestereotypowych, podważających utrwalone, zastarzałe schematy. Pisarstwo historyczne Mariana Żychowskiego tam, gdzie dotyczyło spraw najistotniejszych, ocen najogólniejszych, cechowała indywidualna ostrość sądów, drapieżność, zwłaszcza kiedy chodziło mu o uzasadnienie zasadniczych racji. Kto inny, mający inny zasób wiedzy historycznej, odmienny temperament pewnie by na wiele spraw starał się spojrzeć inaczej, a korygując, redagując i uzupełniając tekst M. Żychowskiego nieraz pokusiłby się o... przytępienie jego ostrości, stuszowanie sądów. Nie był bowiem Marian Żychowski historykiem, który lubił pieścić się z tematyką: jemu chodziło przede wszystkim o walkę o racje, które były jego własnymi. Ale nie był też autorem, który pieścił się z tekstem: rzucał na papier to, co miał do powiedzenia, nie bardzo troszcząc się o detal, o wskazanie wykorzystywanego źródła; odkładał to na później, kiedy całość będzie gotowa i będzie mógł nad nią jeszcze popracować. Stąd nieraz takie czy inne potknięcia: tu niezbyt dokładnie przytoczony tytuł, tam pomyłka w dacie, zwłaszcza w partiach dzieła, poświęconych początkom polskiej myśli socjalistycznej na emigracji po powstaniu listopadowym. Nie czas jeszcze, i nie miejsce w felietonie po temu aby nieżyjącemu autorowi potknięcia te szczegółowo wytykać. Bo idzie w tej książce pt. „Polska myśl socjalistyczna XIX i XX wieku" — niedokończonej, wstępnej mimo redakcyjnego trudu wersji nie napisanej do końca całości — o sprawy tak istotnego znaczenia, że szczegóły nie powinny nam ich przesłaniać.

Mówiąc o swojej próbie syntezy dziejów polskiej myśli socjalistycznej od jej zarania, M. Żychowski podkreślał: „jest to historia koncepcji teoretycznych, ideologicznych i politycznych przedstawicieli polskiego socjalizmu utopijnego, reprezentantów nurtu plebejskiego w powstaniach narodowych, działających w kraju i na emigracji, a następnie przedstawicieli myśli socjalistycznej i ruchu robotniczego w ich stadiach początkowych i dojrzałych". Są to — podkreślał historyk — „dzieje ewolucji poglądów", a zarazem „historia poszczególnych partii i grup", toczących się dyskusji i kontrowersji. Takie ujęcie wypływało z ogólnego twierdzenia, które znalazło się na wstępie autorskich rozważań, pełniąc rolę przesłanki dla całości. M. Żychowski pisał: „Dzieje polskiej myśli socjalistycznej i ruchu socjalistycznego muszą być ściśle powiązane z historią przeszło 120-letniej niewoli narodowej, gdyż wtedy dopiero można zrozumieć ciągłość procesu, ciągłość tradycji i nowe jakości w warunkach przechodzenia od feudalizmu do kapitalizmu, rozwiniętych stosunków kapitalistycznych wraz z okresem monopolizmu. Wszystkie pokolenia Polaków w latach niewoli narodowej żyły pod brzemieniem tragedii braku własnej państwowości. Wszystkie ugrupowania i partie polityczne, w tym także partie robotnicze, musiały szukać koncepcji najskuteczniejszego połączenia celów walki o wyzwolenie społeczne z ideą odzyskania niepodległości Polski. Tę drogę polskich rewolucyjnych demokratów, a następnie polskich socjalistów, wskazywali przez wiele lat K. Marks i F. Engels, a następnie W. Lenin".

LEKTOR

Foto: W. Parys

Przedziwne są drogi wiodące do literatury. Potwierdza się raz jeszcze stara prawda, że pisarstwo nie jest profesją: raczej powołaniem, głosem wszechogarniającego rozumu i serca. Cóż dopiero mówić o poezji, która rzadko wypłaca się twórcy powodzeniem, chociaż wymaga od niego ofiar największych.

Przypominam te komunały, bo niekiedy właśnie oczywistości oddają pełniej sens rzeczy niż wynurzenia wymądrzone, ubrane w kostium słów powabnych, ale pustych i jałowych. Zwłaszcza, że przypadł mi zaszczyt przedstawienia czytelnikowi poety, który powiada o sobie, że go pióro uwiera jak „dziwaczna drzazga" w dłoni i chociaż włada nim sprawnie, to przecież tym oświadczeniem manifestuje dosadnie swój robotniczy rodowód, swoją ideową i moralną więź z człowiekiem pracy, a całą swoją twórczość uwierzetelnia codzienną, prozaiczną pracą w zakładzie przemysłowym, w hałasie maszyn i kurzu fabrycznej hali. Zdawać by się mogło, że nie jest to sceneria sprzyjająca poetyckiej fantazji i grze wyobraźni, ale Mirosław Boruszewski, rocznik 1942, z zawodu inżynier-mechanik udowodnił nam, że tak być wcale nie musi. Nie ma tematów, których poezja nie mogłaby objąć swoim przeszywającym na wylot widzeniem.

Jeszcze przed tygodniem nazwisko Boruszewskiego znane było tylko czytelnikom dzierżoniowskiej prasy zakładowej, dziś, po zakończeniu łódzkiego festiwalu poezji, który nagrodził pretendujący do wydania tom „Krew i czekolada", uzyskało rozgłos krajowy. Te wiersze, wyrażające bezpośrednio ethos klasy robotniczej, zasługują na to, aby o nich mówić, aby się w nie wsłuchać, jest w nich bowiem zagęszczona prawda o prostym człowieku wyrażona słowem prostym, jasnym i celnym. Ta poezja stanowiąca dopiero zapowiedź, jest już jednocześnie dokonaniem.

Tematyka pracy, ludzkiego trudu jest w poezji, w całej literaturze zjawiskiem wyjątkowo rzadkim. Starożytni Rzymianie uważali wręcz, że praca w ogóle nie istnieje: jeśli z glinki powstaje waza, to nie dzięki wysiłkowi lepiącego ją garncarza, tylko dzięki bóstwom nakłonionym do tego przez rytualne ruchy rzemieślnika. I takie naiwne, metaforyczne widzenie ciąży na wielu literackich próbach, bo wysiłek niełatwo poddaje się opisowi, łatwiej go przeżyć niż wyrazić słowem. Ta trudna sztuka udała się Mirosławowi Boruszewskiemu. Może dlatego, że terminował nie tylko u mistrzów poezji, ale także u zwykłego, fabrycznego majstra, prostego człowieka, który wprowadzał go w życie, uczył jak ujmować pilnik i jak walić młotem. I to doświadczenie owocuje teraz w wierszach, które na tej kolumnie prezentujemy czytelnikowi „Odgłosów".

KONRAD FREJDLICH

Syzyf

on do dzisiaj nie wie
jak wygląda kropla potu majster bo strumienie
wartkie

z niego płyną on się nawet nie domyśla
jak radośnie w fajrant brzmi syrena
bo żaden bóg nie obmyślił jej głosu

myślałeś czasem majster o bracie syzyfie
gdzież jemu jeszcze do renty

MIROSŁAW BORUSZEWSKI

Ręka

to nieprawda majster że pisałem wiersze
tuż przed urodzeniem że pisało we mnie
mleko mojej matki znasz ją przecież
z nami targała blachy za włosy aż iskry
pod niebo sypało a może to łzy albo jakiś żal
zbudzony
tak noce rozświecał nie wiem majster matka
o tym nigdy nie wspomniała

i ojca znasz majster odkąd mnie przyjąłeś
twój stary mówili zostawił ci kleszcze zostawił ci
pilnik
więc widzisz co stary dał mi w sztafecie
aż nagle to pióro

pióro spojrzyj majster pióro
platon już to wiedział że dla poetów
szkoda miejsca na tym świecie no i dobrze
wiedział majster co z takiego chłopa
ni to chłopa ni to baby

wydłub majster z ręki tę dziwaczną drzazgę
sam najlepiej
widzisz nie pasuje do niej

Aleja

nie jesteś majster w alei a no nie jesteś
ciasno tam zresztą i nieswojo jakoś
tyle pomników i tyle kamienia
a ty metal wolałeś metal bo słychać
jak krew w nim pulsuje jak prężą się
ciepłem nabrzmiałe włókna

więc cóż ci to szkodzi majster że nie w alei
ale brzozę masz jak w żadnym lesie
i krzyż na kształt klucza że sam byś i majster
lepszego nie zrobił

ja tylko tak majster pogadać na chwilę
sam już jestem chorowity słuchać muszę
jak mnie opukują obmacują modlą się
nade mną po łacinie jakby z książki jakiejś
a nie z człowieka czytali

ja tylko tak majster z roboty wracając
przyniosłem ci biały kwiat

Zmiana

zmiana
dawno już nie byłem z tobą majster dawno
ale życie widzisz zapomina o żyjących
cóż dopiero o umarłych a przecież nie sam
przeszedłeś na drugą stronę rozumiesz z każdym
pogadać trzeba

no i co tam majster plany śrubujecie
to normalne i u nas na ziemi
natyrać się trzeba ale później
ze starą kompanią możesz wyjść na piwo
poroztrząsać najróżniejsze sprawy do nikąd
jak ryba popłynąć ulicznym strumieniem

pomyśl już i o mnie majster wyszukaj robotę
niedługo znów wrócę na twoją zmianę

Krew i czekolada

o czym myślę wysoko wysoko ja
fabryczka krwi na strychu powiatowego szpitala
w wielki piątek upięta za żyłę do głodnej butelki
jak do życia
ktoś z niebieskim okiem niczym neon nad hotelem
turystycznym
który próżno chce się palić ludu mój
ludu myślę cóżem ci uczynił nic
więcej zawinił niżem ci uczynił bierz więc tę kroplę
niech odkupi ciężki grzech nieudolności przecież
i tak umrze drugi piąty nie nastarczę wszystkim
więc po co mnie tyle uczono kiedy ziemi już
niedługo
cmentarzom zabraknie spopielać się będzie
słowiańskim zwyczajem stosując najnowszą
technikę obliczeniową bez udziału człowieka jak pan
pyta pielęgniarka wypisując kwit na obiad
i tabliczkę
czekolady normalnie normalnie czuję się normalnie
tylko nie wiem czy się nie udławię

Mieszkanie

jedzie ze mną w roztrzęsionym autobusie ten
staruszek
pierwszy majster mały już i krzywy w drelichowej
bluzie
z suwmiarką z francuskim kluczem w kieszeni

na przystankach w oczy mi zagląda jakby konia
kupował majster musi wiedzieć czy wziąć mnie
na zmianę
sekundę przed rentą minutę przed śmiercią
czy da się jeszcze ze mnie zrobić człowieka

jedzie ze mną przez to miasto a właściwie niosę
trumnę z majstrem lekką jak okręcik
który przepłynął już wszystkie hale świata ciągnąc
za sobą
ławice metalu i teraz łąki kwiatów nieżywych
w ostatni rejs

jak mu to powiedzieć panie majster wyuczyłeś mnie
tłoczenia łyżki skurczu nitów i dotyku
przez parcianą rękawicę dobrze wyuczyłeś mogę
przez nią
palcem w metalu zapisać litery

z roboty wracam słyszysz mnie majster
dostałem mieszkanie

PONIEDZIAŁEK w BEŁCHATOWIE

IRENEUSZ CHOJNACKI

Foto: W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

1.

W poniedziałek w Bełchatowie jest targ. Wąską ulicę Pabianicką tarasują chłopskie furmanki, którymi przywieziono fasolę, ziemniaki, cebulę, jabłka i sadzonki wychodowane pod szkłem. Chłopi rozłożyli swoje towary na niewielkim placyku, na kilku straganach, a ci którym miejsca już nie starczyło po prostu na płachtach rozpostartych na ziemi. Ludzie chodzą, oglądają, kupują. Sporo młodych.

Jest ciepło. Świeci słońce. Przed budką z lodami kolejka. Trochę senne. Ale wystarczy tylko odwrócić głowę, stanąć twarzą do ulicy, aby zobaczyć, jak między chłopskimi furmankami, ciasno „zaparkowanymi" przy chodniku, z trudem przeciskają się wielkie samochody „Transbudu" czy „Elektrobloku".

Kilka metrów dalej, przy tej samej ulicy Pabianickiej w Bełchatowie, jest drugi placyk, na którym rozłożyli swoje towary różni targowi kramarze. Obok stoją samochody lub taksówki z rejestracją Radomska, Tomaszowa Mazowieckiego, Piotrkowa Trybunalskiego, Pabianic. Kramarze oferują ubrania, buty, koszule, czapki, krawaty, pierścionki i inne ozdoby ze złoconej blaszki i szkiełek, biustonosze, parasolki oraz różne żelastwo, które zawsze może się w domu lub gospodarstwie przydać. Najwięcej tu starych części do rowerów i motocyklów.

A zatłoczoną chłopskimi furmankami ulicą przeciskają się wielkie samochody. Jest coś symbolicznego w tym zderzeniu wsi i wielkiej budowy. Bo w Bełchatowie — choć do przyszłej kopalni sporo jeszcze kilometrów — czuć atmosferę wielkiej budowy.

Opowiadano mi niedawno, że jedno z miast wojewódzkich obraziło się na dziennikarza, że przypomniał na piśmie powiatową przeszłość. Bełchatów też był powiatem i stanowił dla ubogiego rolniczego rejonu centrum handlowe i zaopatrzeniowe. I dziś, choć już nie jest powiatem, to nadal jest centrum handlowym dla podbełchatowskich wsi. Dla tej wsi, z której każdego ranka samochody wywoziły ludzi do pracy w fabrykach i na budowach. Ale dziś dla wielu z tych „wywożonych" otworzyła się możliwość pracy przy budowie kopalni i elektrowni. Wielka budowa wywiera swoje piętno na życiu całej okolicy, a jest to piętno cywilizacji, postępu.

Targ w Bełchatowie jest typowo wiejski. To nie jest miejski bazar, który ściąga wszelkich cwaniaków. Ale wystarczy odwrócić tylko głowę, spojrzeć na ulicę, aby uświadomić sobie, że odbywa się on w cieniu dalekiej budowy. Nad sznurem chłopskich furmanek wolno przesuwa się cylindryczny zbiornik do przewożenia płynnego betonu. Kopalnia buduje się ładnych parę kilometrów za Bełchatowem, ale w mieście powstaje handlowe, kulturalne, mieszkaniowe i administracyjne zaplecze kopalni.

2.

W Bełchatowie zrobiło się nagle ciasno. W poniedziałek widać to szczególnie, bo do miasta zjechali na targ rolnicy, którzy przybyli tu nie tylko po to, aby sprzedać, ale też i po to, aby kupić. W malutkich sklepikach tłok. Trzeba na gwałt budować nowe, które byłyby zdolne obsłużyć zarówno tych, którzy tu na co dzień kupują, jak i tych, którzy tu raz w tygodniu przyjeżdżają po zakupy. Przede wszystkim trzeba jednak budować mieszkania.

Nie tak dawno Bełchatów miał 9 tys. mieszkańców. Teraz ma ich już 14 tysięcy. W ubiegłym roku w mieście wybudowano 360 nowych mieszkań. W tym roku wybuduje się 747 mieszkań.

— **Do końca pięciolatki** — mówi II sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Bełchatowie, Ireneusz Chojnacki — **musimy wybudować w mieście 34 tysiące izb. Ile to jest dla nas, niech świadczy przykład, że w całym województwie piotrkowskim w latach 1971—1975 wybudowano 27 tysięcy izb.**

A przecież miasto musi zapewnić swoim obecnym i przyszłym mieszkańcom nie tylko nowe mieszkania. Potrzebne są sklepy, żłobki, przedszkola, zakłady usługowe, placówki kulturalne, poczta.

Obok Komitetu Miejskiego powstaje budynek przyszłej centrali pocztowej. Wreszcie można będzie automatycznie łączyć się z innymi miastami w kraju. Instaluje się wprawdzie dla Bełchatowa nowoczesną radiolinię „Korab", która umożliwi jednoczesne prowadzenie systemem bezprzewodowym 120 rozmów, ale to udogodnienie nie rozwiąże do końca problemu telekomunikacji. Załatwi to dopiero centrala automatyczna.

Bełchatów — jak do tej pory — dysponuje tylko komunikacją samochodową. Linia kolejowa Piotrków Trybunalski — Zarzecze jest dopiero w budowie. Pierwszy pociąg towarowy ma ruszyć tą linią 31 grudnia 1976 roku. W przyszłości ma to być trasa kolejowa, po której pociągi będą mknęły z szybkością 200 km na godzinę. Ale przygotowanie tej trasy do tak szybkiego kursowania pociągów rozpocznie się dopiero w 1977 roku. Trzeba więc do tego czasu na tej trasie wybudować perony i wiaty na przystankach PKP: Wola Krzysztoporska, Bogdanów, Bełchatów, Zarzecze. A w przyszłości musi w Bełchatowie powstać dworzec PKP. I dworzec PKS z prawdziwego zdarzenia. Będzie to dworzec wspólny dla PKP i PKS i — jak się planuje — będzie on usytuowany przy wjeździe do miasta od strony Grocholic.

3.

IRENEUSZ CHOJNACKI urodził się w Bełchatowie. Jest magistrem pedagogiki. Z pracą polityczną zetknął się w wojsku, gdzie został wybrany przewodniczącym Koła Młodzieży Wojskowej. Po służbie wojskowej wrócił do Bełchatowa i został zastępcą kierownika biblioteki powiatowej. Po pracy w bibliotece przez rok był instruktorem Komitetu Powiatowego PZPR w Bełchatowie i zajmował się sprawami ekonomicznymi. Później pełnił funkcję kierownika Powiatowego Ośrodka Propagandy Partyjnej, a obecnie — już drugi rok — jest drugim sekretarzem Komitetu Miejskiego w Bełchatowie.

Żonaty. Ma dwoje dzieci: syn 9 lat, córka — 3 lata. Sam ma 35 lat.

I sekretarz KM PZPR w Bełchatowie — Jerzy Kraupe wyjechał na kilka dni z miasta. Naczelnik miasta i gminy Bełchatów — Bronisław Rogut w szpitalu. Pracy więc drugiemu sekretarzowi nie brakuje. Całą swoją uwagę koncentruje na rozwoju organizacji partyjnej. Komitet Miejski PZPR wystąpił z inicjatywą powołania Komitetu Międzyzakładowego PZPR dla całego Zagłębia górniczo-energetycznego. Za przykładem Huty Katowice.

— **Powinno to przynieść znaczną poprawę stylu i metod pracy partyjnej w Zagłębiu** — powiada Ireneusz Chojnacki. — **Ale proszę też nie zapominać, że w Bełchatowie była i jest też „bawełna".**

4.

Bełchatowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego znajdowały się do tej pory trochę na uboczu zainteresowań MPL i Zjednoczenia Przemysłu Bawełnianego w Łodzi. Teraz sytuacja się odmieniła. Za przyczyną kopalni. Po prostu w Bełchatowie powstanie — jak to się mówi — nadwyżka kobiet, którym trzeba będzie zapewnić pracę. Postanowiono więc zmodernizowować przędzalnię odpadkową, instalując tam nowoczesne przędzarki bezwrzecionowe. Myślano też o rozbudowie, ale przeszkodą jest brak wody, kłopoty z oczyszczalnią ścieków, a przede wszystkim ze specjalistami. Zresztą w Pabianicach wybudowano dużą wykończalnię, która ma pracować również na potrzeby fabryk w Bełchatowie i Zduńskiej Woli.

„Hydrocentrum 2" buduje dla potrzeb miasta ujęcie wody i oczyszczalnię ścieków. Miasto rozbudowuje się. Rosną potrzeby, a myśmy się już nauczyli myśleć również o przyszłości. Nowe inwestycje nie mogą naruszać równowagi w środowisku naturalnym człowieka. Nowe miasta muszą mieć nowe i wyższe potrzeby i o tym się nie zapomina. Również w Bełchatowie.

Ale nowy Bełchatów dopiero się kształtuje. Nie obok starego, a na jego gruzach. Ten proces odbywa się nie tylko w fizycznym stanie miasta, również w świadomości mieszkańców.

5.

Dzień był słoneczny, ciepły. Wędrując po mieście, przysiadłem sobie na skwerku. Chwila przerwy na papierosa. Obok mnie usiadł starszy człowiek w berecie. Maj jest — jak wiadomo — poświęcony kulturze, książce i oświacie. Niedaleko naszej ławki „Dom Książki" wystawił stoisko. Klientów raczej mało. Targ jest w Bełchatowie i ludzie, którzy do miasta zjechali, nie książek szukają, choć powinni. Ale nie przesadzajmy.

Siedzę więc sobie na ławeczce, a obok mnie starszy człowiek w berecie. Nagle w parkowej alejce pojawia się młodzieniec w brązowym garniturze. Idzie chwiejnym krokiem.

— **Coś taki chory?** — pyta go człowiek w berecie.

— **A tak sobie...** — powiada na to młody w brązowym garniturze.

— **Idziesz do lekarza?** — pyta człowiek w berecie.

— **Nie!**

— **Na noc dziś pracujesz?**

— **Aha!** — powiada młody w brązowym garniturze i wyciąga z kieszeni paczkę zgniecionych papierosów.

— **Schowaj to! Schowaj!** — powiada człowiek w berecie.

Młody w brązowym garniturze zapala papierosa. Chwieje się trochę nad naszą ławką. Zamyśla się, paląc papierosa. A następnie powiada:

— **Gdyby mnie dziś nie było w pracy, to już wiesz... Sza!**

Przykłada wskazujący palec do ust i odchodzi chwiejnym krokiem. I my obaj z człowiekiem w berecie wiemy już o co chodzi. Każdy dla siebie. Po prostu poniedziałek w Bełchatowie.

6.

Przy tym samym skwerku, obok straży pożarnej jest Dom Kultury. Nawet niebrzydki. Podchodzę bliżej, aby przekonać się, co bełchatowscy działacze kultury mają do zaoferowania mieszkańcom miasta.

Przy wejściu ogłoszenia:

„Dom Kultury w Bełchatowie prowadzi nabór do chóru dla dorosłych i amatorskiego zespołu teatralnego. Zapisy przyjmowane są codziennie w Domu Kultury w Bełchatowie, Plac Narutowicza 1, tel. 144, 232, pokój nr 7. Zapraszamy".

„W związku z ogłoszeniem 16 maja 1976 roku Dniem Czynu Społecznego Dom Kultury w Bełchatowie uprzejmie informuje o zmianie terminu Wojewódzkiego Jarmarku Hobbystów. Odbędzie się on w dniu 13 czerwca 1976 roku w Domu Kultury w Bełchatowie w godz. 12—18. Jednocześnie przedłużony został do dnia 30 maja termin nadsyłania zgłoszeń do udziału w Jarmarku. Zapraszamy."

„Telegram! IV Ogólnopolski Turniej Tańca Towarzyskiego w Radomsku z udziałem par zagranicznych. Radomsko Dom Rzemiosła. 22—23 maj 1976 rok."

Skądinąd wiem, że w turnieju tym zgłosiły swój udział pary taneczne z Węgier, NRD, CSRS, a także pary polskie z Warszawy, Gdańska, Łodzi, Lublina, Olsztyna i Wrocławia. Główna nagroda: oryginalny fotel wykonany przez radomszczańskie fabryki mebli. Po Radomsku najlepsze pary taneczne miały wystąpić w... Piotrkowie Trybunalskim.

W kinie, które mieści się też w Domu Kultury repertuar wcale nie najgorszy. Filmy zmieniają się co kilka dni, a poza tym działa kino studyjne.

7.

Zbliża się godzina 15. Kończy się dzień pracy. Przez Plac Narutowicza w Bełchatowie idzie kondukt pogrzebowy. Orkiestra gra marsze żałobne. Pochód tamuje ruch samochodowy. Ogromny, samobieżny dźwig zwisa kranem nad głowami ostatnich żałobników. Kondukt przeciska się między samochodami. Jakiś „żuk" uległ awarii. Kierowca usiłuje gwałtownie uruchomić pojazd. Spycha go wreszcie przy pomocy przypadkowych gapiów na bok ulicy. Kondukt przeciska się między natłokiem samochodów. Coraz więcej autobusów z napisem: **„Przewóz pracowników".** Żałośnie wygląda ten pogrzeb torujący sobie drogę pośród natłoku samochodów. Wreszcie dociera do pobliskiego kościoła. Samochodów jest coraz więcej.

Przed Urzędem Miasta i Gminy Bełchatów parkuje swego „fiata 125" sam Józef Kaczmarek. Jego koledzy z narodowej kadry kolarzy zdążają do mety kolejnego etapu Wyścigu Pokoju. W Urzędzie Miasta i Gminy Bełchatów odbywa się posiedzenie komitetu organizacyjnego bełchatowskiego wyścigu kolarskiego. Józef Kaczmarek ma jakiś interes do jednego z organizatorów.

Skończył się dzień pracy w Bełchatowie. Tego dnia Stanisław Szozda nie zwyciężył, a Józef Kaczmarek, który w 1974 roku był dziesiąty, stał spokojnie przed Urzędem Miasta i Gminy w Bełchatowie, aby załatwić jakąś swoją sprawę. Grzeczny sympatyczny młodzieniec, któremu nigdzie się nie śpieszyło.

8.

Komendant MO w Bełchatowie nie mógł mi udzielić żadnych informacji, choć chętnie by to zrobił, ale nie miał pozwolenia z Komendy Wojewódzkiej MO w Piotrkowie Trybunalskim.

Prokurator Rejonowy powiedział, że do Prokuratury Rejonowej w Bełchatowie nie wpływają żadne sprawy, które mogłoby mnie interesować. A chciałem po prostu wiedzieć, jak na spokój miasta wpływają ludzie, którzy ściągają tu z całej Polski w poszukiwaniu zarobku.

— **Mieliśmy sprawę dwu recydywistów** — powiedział Prokurator Rejonowy — **którzy wywiedli w pole jednego z poszukiwaczy lekkiej a dobrze płatnej pracy i go ograbili doszczętnie. To wszystko.**

Znajomy dziennikarz opowiadał mi o konfliktach między starymi bełchatowianinami a „elementem napływowym". Ten „element" dobrze zarabia i bełchatowianie patrzą na nich w sposób niechętny. Ale czyż można wierzyć znajomemu dziennikarzowi, kiedy w samym Bełchatowie wszyscy zgodnie mówią: „fajno jest!".

9.

— **A nie mówiłem** — skomentował kierowca — **że nie należy nic zaczynać w poniedziałek!**

Nie miał jednak racji, bo mimo wszystko — tak mi się przynajmniej wydaje — udało mi się w ten majowy poniedziałek podpatrzyć proces stawania się czegoś nowego, kształtowania się nowego miasta. Widziałem to w zatłoczonych sklepach, na bełchatowskim targu, w ruchu ulicznym, gdzie między chłopskimi furmankami przepychały się wielkie samochody „Transbudu" czy „Energobloku". Widziałem to wreszcie w postawach ludzi.

Zdaję sobie sprawę z tego, że jest to fragment dokonujących się przemian, ale też starałem się zapisać go wiernie, tak jak widziałem.

Kończył się poniedziałek, 17 maja 1976 roku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Foto: W. Parys

NAUKA

MORATORIUM DLA FRANKENSTEINA?

List otwarty opublikowany dwa lata temu w znanych czasopismach naukowych „Nature" i „Science" napisany był w oszczędnych, pozbawionych emocji słowach języka nauki. Jednakże wrażenie jakie wywarł on na uczonych całego świata było ogromne. W liście tym, po raz pierwszy w historii, grupa znanych i cenionych naukowców nawoływała do zaprzestania pewnych, potencjalnie niebezpiecznych badań w dziedzinie genetyki. Chodzi tu przede wszystkim o pewne techniki pozwalające na implantację genów wirusów, bakterii i komórek zwierzęcych na nieszkodliwe szczepy bakteryjne, jak na przykład, na szczep zwany E. coli, który znajduje się w ludzkim przewodzie pokarmowym i który często używany jest w eksperymentach laboratoryjnych.

Uczeni, którzy nawoływali do wstrzymania tych eksperymentów, sądzili, że mogą być wytworzone nowe, niebezpieczne szczepy bakteryjne. Na przykład, dla badania mechanizmów odporności na leki, mogłyby być sztucznie wytworzone takie bakterie, które byłyby całkowicie odporne na antybiotyki. Gdyby takie bakterie przypadkiem przeniknęły poza mury laboratorium, mogłyby zaatakować miliony ludzi a lekarze nie byliby ich w stanie uratować od śmierci.

Apel o wstrzymanie badań w dziedzinie genetyki spotkał się w większości wypadków z pozytywnym odzewem nie tylko dlatego, że był uzasadniony lecz także ze względu na autorytet ludzi, którzy go podpisali. Wśród nich był laureat nagrody Nobla, którą otrzymał za odkrycie chemicznej struktury DNA — **James D. Watson**, dyrektor instytutu biochemii w Stanford University — dr **Paul Berg** oraz wielu innych pionierów badań genetycznych.

W lutym 1975 roku odbyła się międzynarodowa konferencja 150 uczonych, na której dyskutowano o niebezpieczeństwach związanych ze stosowaniem nowych technik eksperymentalnych oraz omawiano sposoby zabezpieczenia się przed tymi niebezpieczeństwami. W wyniku konferencji zdecydowano się podjąć na nowo, choć w ograniczonym zakresie, eksperymenty z transplantacją genów, jednakże tylko przy zastosowaniu specjalnych systemów zabezpieczających, takich jakie stosowano przy badaniu skał przywiezionych z Księżyca. Wiele eksperymentów, które mogłyby być groźne dla ludzi będzie przeprowadzonych na specjalnych szczepach bakteryjnych, które nie mogą żyć poza laboratorium.

Ogromny hałas wokół niebezpieczeństw związanych z transplantacją genów nie pozwolił dostatecznie wyraźnie dostrzec faktu, że same techniki transplantacyjne są ogromnym osiągnięciem naukowym. Przy ich pomocy uczeni mogą pokusić się o wyjaśnienie wielu tajemnic genetycznych oraz o pokonanie całego szeregu chorób trapiących ludzkość.

Dla przykładu, do niedawna uczeni uważali, że DNA — materiał tworzący geny — znajduje się tylko w jądrze komórki. Pod koniec lat pięćdziesiątych przekonano się, że niektóre komórki bakterii posiadają okrągłe kawałki DNA zanurzone w cytoplaźmie. W roku 1972 dr **Stanley N. Cohen** zdołał przenieść te stosunkowo łatwo dostępne cząstki DNA z jednej komórki do innej. Cząstki te, zwane plazmidami, zadomowiały się w nowych komórkach i rozmnażały się wraz z nimi.

W tym samym czasie zespół naukowców University of California kierowany przez dr **Herberta W. Boyera** odkrył substancje chemiczne zdolne do rozcinania łańcucha DNA bez niszczenia go. Te chemiczne skalpele, zwane enzymami restrykcyjnymi, posiadają taką właściwość jakiej nie ma żaden prawdziwy nóż chirurgiczny: przecinają łańcuch DNA pozostawiając „kleiące" końce. Jeżeli odcięty koniec jednego łańcucha DNA dotknie końca innego rozciętego łańcucha, następuje ich połączenie.

Po pewnym czasie oba ośrodki badawcze połączyły swe siły. Używając enzymów restrykcyjnych uczeni mogli wycinać określone geny z DNA bakterii, wirusów czy komórek zwierzęcych. Następnie mogli łączyć tak wybrane geny z plazmidami a potem przenosić całość do innych bakterii, gdzie rozwijała się ona wraz z tymi bakteriami.

Odkrycie, że enzymy restrykcyjne mogą być używane do łączenia genów z plazmidami było bezpośrednim powodem ogłoszenia moratorium. Gdy z całego świata zaczęły nadchodzić prośby o enzymy dla przeprowadzania różnorakich doświadczeń, uczeni zdali sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Większość badań w dziedzinie genetyki przeprowadzana była na prostych organizmach jednokomórkowych. Nie wiadomo jednak jeszcze jak współpracują ze sobą miliardy komórek w takim skomplikowanym organiźmie jak, na przykład, człowiek. Wiadomo, że każda komórka naszego ciała ma takie same geny. Nie wiadomo jednak jak to się dzieje, że te same geny każą, na przykład, rosnąć włosom na głowie a nie na wewnętrznej stronie dłoni, czy na podeszwach stóp. Być może, niedługo uda się rozwiązać i tę zagadkę.

Niektórzy uczeni sądzą, że nowe techniki eksperymentalne znajdą wkrótce zastosowanie w medycynie, na przykład, przy leczeniu raka. Uczeni są przekonani, że przyczyną raka są wirusy, jednakże nie wiedzą, która część wirusa jest bezpośrednią przyczyną choroby. Wirus jest w gruncie rzeczy łańcuchem DNA, jak gdyby wolnym genem. Używając plazmidów będą uczeni mogli badać wirus „po kawałeczku", aż stwierdzą, która jego część powoduje chorobę. Wtedy można będzie znaleźć odpowiednie środki zaradcze.

Coraz więcej ludzi zdaje sobie sprawę z różnorakich konsekwencji społecznych jakie mogą za sobą pociągnąć badania w dziedzinie genetyki. Należy mieć nadzieję, że uczeni, pomimo całego zafascynowania samymi badaniami, nie stworzą nam mimo woli nowego Frankensteina. Czy jednak możemy być tego zupełnie pewni?

MARIANNA GOŹDZIK

KULTURA

JEDNO PYTANIE

W latach 1974—75 „Odgłosy" opublikowały cykl szkiców krytycznych poświęconych literaturze naszego miasta. Ta seria artykułów nosiła tytuł „Słownik pisarzy łódzkich". Obecnie chcemy ten cykl kontynuować w lżejszej formie. Zadając pisarzom jedno tylko pytanie, spodziewamy się, że wyniki naszej ankiety zaktualizują „Słownik" i ukażą łódzkie środowisko literackie z nowej strony. Dotychczas wypowiedzieli się: W. Orłowski, Wł. Rymkiewicz, M. M. Szargan, J. Wilmański, R. Binkowski, J. H. Wiśniewski, T. Gicgier, T. Chróścielewski, K. Obidniak, E. Ostrowska, E. Kopczyński, A. Makowiecki, E. Iwanicki J. Wawrzak, K. Frejdlich i E. Szuster. Dziś wypowiedzi kolejne.

KIM SĄ BOHATEROWIE PANA KSIĄŻEK?

Odpowiada: JANUSZ SKOSZKIEWICZ

— Odpowiedź nie jest łatwa. Wolałbym odpowiedzieć na pytanie, kim są dla mnie, bo przecież w oczach czytelników moi bohaterowie mogą się wydać innymi. Kim więc są dla mnie? Są przede wszystkim ludźmi z codziennej obserwacji, z życia współczesnego. I jeśli nawet w powieści występują postaci historyczne (jak Berenika i Euergetes III ze „Śniadania na trawie"), to są potraktowane przeze mnie jako pretekst do ukazania w przerysowanej formie postaw moich współczesnych bohaterów powieściowych. Uważny czytelnik spostrzeże, że moich bohaterów traktuję z wyrozumiałością, czasem z pobłażliwością, często z wyraźnym przymrużeniem oka (dobitnym przykładem „Kolorowe miasteczko"), a z reguły życzliwie. Z tej to racji bohaterowie moich książek nie noszą w sercu zemsty, a nawet skrzywdzeni przez los lub ludzi nie tracą nigdy optymistycznego spojrzenia na świat. Specjalnie mi bliscy są bohaterowie odznaczający się prostolinijnością w postępowaniu przy braku agresywności i tzw. siły przebicia, co dla kolidujących z nimi postaci jest równoznaczne z niedołęstwem i głupotą. Ulubioną pointą jest zaskakujące zachowanie się tych moich poczciwców, którzy w bardziej konfliktowych sytuacjach wykazują energię, zdecydowanie w działaniu i trafny sąd, sprawiając tym niespodziankę cwaniakom. Tak np. typowo zachowuje się Bożena z opowiadania pt. „Pamiątka po bohaterze", czy też nauczyciel z opowiadania pt. „Księżycowy kochanek". Niektórzy czytelnicy zwrócili uwagę, że w mych książkach zazwyczaj nie mężczyźni lecz kobiety są znacznie bardziej aktywne, pełne inicjatywy i bardziej zindywidualizowane.

CZY PISARZOWI POTRZEBNE SĄ PODRÓŻE?

Odpowiada: WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Pytanie jest chyba retoryczne. Przecież każdy człowiek ma naturalny głód poznawania świata, potrzebę konfrontacji. Dopiero u obcych dowiadujemy się o sobie dostatecznie wiele, bo dystans poszerza widzenie. Podróż, to przecież nic innego jak ciąg porównań i identyfikacji, a to pozwala zrozumieć wiele rzeczy. Tym większe znaczenie ma wędrówka dla pisarza. Przecież każdy z nas jest trochę poetą. Reakcja na inne pejzaże, barwy ziemi jest ożywcza i płodna. Kiedy zobaczyłem po raz pierwszy jak zachodzi słońce w Afryce było to dla mnie prawdziwym olśnieniem, które odcisnęło się w pamięci. W podróży na nowo uczymy się wrażliwości na uroki przyrody i rodzi się w nas protest przeciw barbarzyństwom cywilizacji.

Ale pisarz wynosi z takich doświadczeń także inne korzyści. Na ogół ma przecież okazję zetknąć się z inną kulturą, inną literaturą. To także sprawa konfrontacji. Jeśli powinnością pisarza jest konstruowanie losu ludzkiego, to ciekawe przecież jak obcy widzą kondycję człowieczą.

Są także inne konsekwencje. Dopiero za granicą zrozumiałem, jak słaby instytucjonalnie jest nasz Związek Literatów, bez własnych wydawnictw, bez własnej prasy. Brałem przecież ostatnio udział w wielkim święcie literatury radzieckiej, jakim są urządzane tam z wielkim rozmachem Dni Literatury. W tym roku odbywały się one na Kubaniu. Ten kraj jest jakby stworzony dla poezji. Stoją mi przed oczami te nie kończące się pola słoneczników, buraków, pszenicy. No i sprawa autorytetu twórcy. Tam pisarz jest w randze generała służby czynnej. Ale czytelnik jest jego autentycznym partnerem. Dobrze, że mamy coraz więcej kontaktów z pisarzami z innych krajów, choć jest ich chyba wciąż jeszcze za mało.

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

HIPPIES GO HOME!

(KORESPONDENCJA Z HOLANDII)

Dalszy ciąg ze str. 1

celnicy i ci od paszportów. Pracowali szybko, grzecznie, z uśmiechem na twarzy. Zaciekawił ich jednak młodzieniec w dżinsowym komplecie. Sprawdzili mu dokumenty, obrzucili czujnym wzrokiem plecak i zadali kilka niedyskretnych pytań:

— Gdzie jedziesz?

— Do Amsterdamu.

— Po co?

— Odwiedzić przyjaciół.

Ukłonili się i wyszli. Kiedy pociąg zbliżał się do stacji, wrócili w nieco większym składzie i chwytając chłopaka z obu stron pod pachy, wywlekli na peron.

3.

W dziesięć dni później wracałem z Anglii promem Koningin Juliana, a na pokładzie znajdowało się co najmniej trzydziestu z plecakami. W Hoek van Holland, podobnie zresztą jak w Harwich i na londyńskim dworcu Liverpool, czwartym obowiązującym językiem świata jest polski. Usłyszałem zatem przez megafon po polsku, i to w formie, która mogłaby zawstydzić wszystkich naszych spikerów kolejowych, że mam iść prosto, a później w prawo. Z uwagi na ciężką walizkę zjawiłem się w budynku odpraw paszportowo-celnych jako ostatni. Była to okoliczność sprzyjająca, albowiem tych trzydziestu gibało się akurat przed oficerem.

Stojący obok mnie Holendrzy mówili z cicha, że takich pytań nigdy się w tym kraju nie zadawało.

— Na długo przyjechałeś?

— Nie wiem jeszcze.

— Gdzie będziesz mieszkał?

— W hotelu.

— Masz pieniądze?

— Tak.

— Pokaż.

Długowłosy wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów. Oficer przeliczył je; pięćdziesiąt guldenów i pokręcił głową.

— Starczy ci na jeden dzień.

Chłopak milczał. Wiedział, że strój, plecak i brak pieniędzy nie są dostatecznym powodem, aby go zatrzymać lub wydalić.

4.

Najpierw wschodni Rotterdam. Później pociąg skręca w lewo, mija Hagę i niebawem zaczynają się przedmieścia. Trzydziestu z plecakami i wielu innych, którzy wsiedli po drodze, bez większego wrażenia patrzy na mury pokryte co parę metrów ogromnymi napisami:

HIPPIES GO HOME! HIPPIES GO HOME!

Jestem przyzwyczajony do podłódzkich zatłoczonych wagonów drugiej klasy. Skład, którym wjeżdżam na dworzec w Amsterdamie, lśni chromem i błyszczy czystością, a w przedziałach jest pusto. Niemniej żaden polski chłop w ugnojonych butach nie rozsiewa takiego zapachu, jak siedząca naprzeciw mnie hippieska.

5.

Jeśli ktoś mówi o pięknych miastach, a nie widział Amsterdamu, to niech lepiej milczy.

Amsterdam nie ma nic z zachodniego blichtru: wieżowców, magazynów, kombinatów hotelowych, ale obca mu jest także duszna atmosfera Orientu.

Żadnych rozwrzeszczanych bazarów i kapiących od złota sklepów. Po prostu — domki, kamieniczki, jedno wielkie Stare Miasto, którego miniatury znaleźć można w Brukseli, a falsyfikaty w Gdańsku.

Wnętrze każdej amsterdamskiej kawiarni przypomina antykwariat i to wysokiej próby. Patrząc z ulicy przez okna o kryształowych szybach w czeluść zaprószonych mrokiem sal, na stoły, krzesła i bary w brązowym odcieniu, lampy i żyrandole, które nocą przydają ścianom innych kolorów i znaczeń, doznajesz tych samych wrażeń, jakich ktoś doznawał tutaj sto lat temu.

Barki u brzegów i łodzie przesuwające się wolno kanałami, zatoki podmywające szczelną ciągłość murów murszejących i omszałych, pochylonych od brzemienia wieków...

No, dość tej poezji!

Amsterdam jest najpiękniejszym miastem świata, ale nie sądzę, aby jakiekolwiek inne miasto chciało się zamienić z nim na los.

6.

Nie dalej niż trzysta metrów od dworca, po przejściu mostu nad zatoczką, zaczyna się plątanina wąskich uliczek, na których co trzeci dom jest hotelikiem, a co czwarty restauracją. Nie lubię zdrobnień, ale w tym wypadku przystają one do prawdy. Właśnie uliczki, wciągające cię jak bajka — straszka, właśnie hoteliczki, gdzie za ladą drzemie starszy pan albo szydełkująca matrona.

Zamieszkałem w takim hotelu i do dziś nie mam pewności, czy to rzeczywiście był hotel. W dzień zewsząd tchnęło spokojem, po południu zagrały syreny policyjnych samochodów. Na chodniku leżał nieprzytomny chłopiec. Pochylał się nad nim lekarz i człowiek w mundurze. Przez chwilę myślałem, że zabiorą go czekającą obok karetką do szpitala, ale nagle otworzył oczy i pojechał policyjnym łazikiem. Z bramy wyszło dwóch panów i zataczający się Azjata. Kiść jednego z tych panów i kiść Azjaty spięte były kajdankami. Murzyn podbiegł do siedzącej nad kanałem dziewczyny i kopnął ją w twarz. Chińczyk złapał mnie za włosy w drzwiach lokalu, który wyglądał normalnie.

Spytałem:

— Why?

A on pokazał mi tabliczkę na drzwiach:

ONLY CHINESE.

7.

Są także restauracje **TYLKO DLA CZARNYCH, TYLKO DLA ARABÓW, TYLKO DLA HINDUSÓW.** Nie Holendrzy wymyślili te getta. Niektóre nacje obalają zresztą bariery. **NIE MUSISZ BYĆ ŻYDEM** — głosi napis — **ABY LUBIĆ KOSZERNY DRÓB!**

8.

Na frontonach niektórych kamieniczek wytłoczone w murach daty pochodzą z **PIĘTNASTEGO I SZESNASTEGO STULECIA.**

U nas takie kamieniczki byłyby pod ochroną konserwatora zabytków. W Amsterdamie siedzą w nich kurwy.

Wiadomo — stary i wszechobecny to zawód. Ale one siedzą na oświetlonych wystawach, rozebrane do pasa albo i bardziej, za szybą, przez którą widzisz łoże z wzorzystą narzutą i umywalnię. Staram się unikać niestosownych porównań, jednakże te wystawy, **SETKI TYCH WYSTAW**, poszerzają granice ludzkiego zwyrodnienia.

Tak jak masło, pieczywo, buty, ubrania... To już nie jest handel żywym towarem. To jest handel **ŻYWYM MIĘSEM.**

9.

Centrum pornografii, które do niedawna mieściło się w Kopenhadze, jest teraz w Amsterdamie. Filmy, książki, przyrządy, czasopisma dostępne są powszechnie: nie trzeba wchodzić do sklepu, wystarczy spojrzeć na wystawę, podobnie jak nie trzeba otwierać książki, bo wystarczy okładka.

Nie bawi mnie opisywanie tych rzeczy. A przecież zrobiła na mnie wrażenie piętnastoletnia dziewczyna z warkoczykami i perkatym noskiem, która siedziała za półką z tym świństwem w charakterze uprzejmej ekspedientki. Zapamiętałem również chłopca, który trzymał stragan w Wesołym Miasteczku. Była to twarz dziecka z oczami starca. Każdy, kto widział tę twarz, a ma choć trochę sumienia, powinien sobie strzelić w łeb. Wygodniej jednak odwrócić głowę.

10.

Plotka, jakoby Amsterdam opanowali hippiesi, jest fałszywa. Hippiesi, aczkolwiek trudno z nimi się zgodzić, mieli swoje programy, ideały, religie.

ALL PEOPLE ARE ONE
FUCK HATE
MAKE LOVE NOT WAR

To były ich hasła. Niektórzy, na modłę Franciszka z Asyżu, nie jedli mięsa, inni, opuszczając miasta, bratali się z naturą. Jeszcze inni palili haszycz, żeby poznać tajemnicę własnej duszy.

W Amsterdamie rozlany po ulicach tłum żre, kradnie, bije, kopuluje, strzela, klnie, szachruje, żebrze i gwałci. Z rozczuleniem wspominam naszych rodzimych chuliganów, kiedy przeciskam się szpalerem zdesperowanych, milczących, wypranych z wszelkiej ekspresji twarzy: ogniki papierosów w kącikach ust, szczęki międlące leniwie gumę do żucia, czujne spojrzenie zmrużonych oczu. Tak ich dużo! Ulica po ulicy, dzielnica po dzielnicy: w bramach, w szopach, w łodziach i barkach nad kanałami, w restauracyjkach, kawiarenkach, hotelikach, kinach — wszędzie!

Nie pięść, tylko kastet i nóż. Pamiętam o tym. Nie oglądam się, słysząc za sobą krzyk albo jęk bólu. Kopenhaska Christiania wydaje mi się teraz oazą ładu i spokoju, a londyńskie Soho placem zabaw dziecięcych. Podobno Himalaje zbrodni mieszczą się w USA, ale amerykański turysta kręci głową.

— U nas — powiada — **brudem ociekają gazety, tu natomiast wszystko można zobaczyć na ulicach.**

11.

Ktoś twierdzi, że Holendrzy płacą haracz za kolonialną przeszłość. Ktoś inny, że jest to pobłażliwość tutejszego prawa i nieudolność władz.

Tak czy owak współczuję sterroryzowanym mieszkańcom Amsterdamu. Zostało im kilka szerokich ulic i peryferie. Wielu ucieka do Rotterdamu i Hagi, wielu emigruje za granicę. Człowiek o zdrowych zmysłach nie będzie tu przecież wychowywał dzieci.

Ci, co zostają, zaopatrują się w broń i gaz łzawiący, uszczelniają okna, wzmacniają drzwi i o zmierzchu nie wychodzą z domu. Chyba, że rozpiera ich wola walki. Wypisują wówczas pod osłoną nocy na murach:

HIPPIES GO HOME!

12.

Żeby zakończyć optymistycznym akcentem w stylu polskich reporterów (którzy każdy krytyczny materiał puentują złotym zaiste, choć przyfastrygowanym pocieszeniem: „coś się tam jednak zaczęło zmieniać", „chory organizm zaczął się bronić", „społeczeństwo podjęło bezwzględną walkę" itp.), trzeba wspomnieć o kontrolach na punktach granicznych, o zaostrzeniu przepisów wizowych, o dziennikarzach, którzy nadali problemowi odpowiednią rangę, o psach, które węszą za narkotykami, o policjantach, którzy dzielnie wkraczają do akcji, nie szczędząc bynajmniej pałek.

Wreszcie: każda epidemia ma swój początek i koniec, więc nadejdzie, być może, dzień, kiedy piękne, najpiękniejsze miasto świata wróci do ludzi.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KSIĄŻKA

FANTOMY PIĘKNEGO ŻYCIA DOROSŁYCH

Ceniony w środowisku prozaik, poeta i satyryk przygotował kolejny tomik opowiadań. Obok rzeczy nowych znalazły się tu również, w niewielkiej ilości, wybrane utwory z wcześniejszych publikacji.

W zbiorkach zdarzają się opowiadania — skrytki myśli, których lektura nikłą daje nadzieję na pokazanie wytwórcy, ukrytego za nieprzejrzystą zasłoną. Pisarzowi gwarantują bezpieczną intymność na użytek prywatny na publiczny zaś — swobodę prześlizgiwania się nad niezręcznością krytyki. Są w „Pięknym życiu dorosłych" podobne opowiadania.

Podział wewnętrzny (jakby trójdzielność książki) nie zakłóca wspólnego całości krwiobiegu, pulsującego wzorowanym na dobrej powieści odcinkowej zgodnym rytmem zdań „odprężających" i „napinających". Do określenia wypadkowej poetyki zbioru opowiadań, jakościowo odrębnej od składających ją wartości nie mniej samodzielnych cząstek, niepomiernie stąd jeszcze daleko. Dopuśćmy, ulegając antycywilizacyjnej presji autora, aby nasza „skołtuniona", schematyzująca wrażliwość stuszowała złożoność i wyjątkowość, a całość wygrała na kilku podstawowych tonach. Zresztą książka Huszczy ze szczegółów wyliczyć się nie da. Wydarzenia układa według „potrzeb uczuciowych, a w nich panuje całkiem odmienny, czasem za każdym razem inny porządek" (opow. „Pan Gracjan i inni"). Broni się przed natarczywością i dociekliwością (nie przyczyna to krytycznej wobec pisarza powściągliwości?) Trudna do wniknięcia skorupa zapewnia dystans obu stronom, solidną a niespodziewana prywatność osiąga czytelnik — minimalista.

Nie wydaje się, aby autorowi potrzebne było ucukrzanie: pokory jak również małostkowego czepiania się nie zauważy. Charakter osobistego tonu wskazuje, że podpory szuka bez rezultatu, a namiastki mu nie wystarczają. „... Ludzie autentycznych, prawdziwych uczuć nie wystawiają zbyt łatwo na pokaz" („Szafirki"), powolni owej prawidłowości znajdują iluzoryczna wolność w pogodzeniu się z rozlicznymi koniecznościami („Hau, hau"); uwikłani w grupy interesu, sitwy, kliki i kręgi („Kręgi", „Zima") tylko poprzez substytuty obcują z utraconą „legendą młodości". Jeśli piszą, widzą sens literatury coraz bardziej pesymistycznie („Kwiecień — kwiecień"). Mądry hodża Nasredin, na przekór pisarskim wątpliwościom i niewiarom, przeczytawszy choćby „Opowiadanie dla wnuka", ukułby zapewne na wylączność edukacji Haruma Al Raszida myśl praktyczną: jest przecież ktoś (wnuk), dla kogo pisać pięknie, warto.

Wcześniejszy zbiorek Huszczy („Pan Gracjan i inni", 1970) kończy się niemal równie bajkowo, pożegnaniem z „maleńką Atlantydą", która tutaj w wycieniowanych, wysubtelnionych, wariantach powraca. Zmęczonych „pięknym życiem dorosłych" reanimuje odbicie odległego świata — zadymionych chutorów, krajobrazów Wileńszczyzny, nie wygasłych refleksji i uczuć. Polemizować z tezą — pięknie czy nie pięknie dorosłym żyć — nie sposób. Okazać się też może, że kategorie estetyczne ironicznie podkreślają niezręczność naszych o życiu werdyktów (posądzenie na miarę Huszczy — satyryka).

Złapanie się na lep byłoby na rękę egotycznym bohaterom opowiadań, ich niepodległość uczuciowa i prymat duchowy ustaliłyby się bez zastrzeżeń na dobre.

W jednym z opowiadań sympatia „zakołtunionego" młodzieńca otrzymuje z rąk lirycznego „ja" bukiecik szafirków. Zmierzwiony młokos kwituje powyższe „tępym" (a gdyby z rezygnacji?) milczeniem, bo w konfrontacji z intruzem nawet rachunek walorów fizycznych wypada dlań blado. W bezpiecznym oddaleniu żąda od wybranki odrzucenia daru. „Ale dziewczyna śmiała się...", zatrzymała kwiatki, podbudowując poruszone wiosną liryczne „ja" i czytelnika — w domyśle. Typowość reakcji stron zaspokaja, zdawałoby się, nie kwestionowany stereotyp oczekiwań. Szeregowy, banalny uczuciowo i fizycznie produkt teraźniejszości nie improwizuje postaw porównywalnych z ustrojami autonomicznymi w wymienionym względzie i bogatszymi. Milczek — z psychologicznej konieczności, przydeptany postępem czasu, upomni się w staroświeczczyźnie o obrońcę. Fragment życia (nie literatury) wygrzebany z zasuszonej książki, rozpisywanej ongiś w sztambuchach „ku pamięci", nadaje się pod rozwagę i na, o innym zgoła wydźwięku, zakończenie „Szafirków". „O czwartej zjedliśmy razem podwieczorek, chleb z powidłami, siedząc na sofie. Kiedyśmy się podnieśli, ojciec nie dał mi wyczyścić plamy, którą mularczyk zrobił na sofie swoim zawapnionym odzieniem. Zatrzymał mnie za rękę, a potem sam wyczyścił po kryjomu" (Edmund de Amicis, „Serce").

„Nie ma absolutnej ucieczki od przeszłości, jest tylko możliwość zawarcia z nią jakiejś rozsądnej umowy lub zachowania wobec niej słusznego dystansu" (opow. „Kręgi"). Wdzięczniejszy z nałogów, tj. odnajdywanie pośród pamiątek krzepiących źródeł, objawia się nierzadko przeoczeniem faktu, że niegdyś cały świat zastygał jedynie na chwilę — w fotoplastykonie. Naprawdę zaś zmieniał się według określonych reguł. Zmitologizowany wygląda na opokę, pozostaje w bezdechu, wybranych ludzi świeżością odbitych tylko obrazów. Żyć z tym trzeba, choć trudno się pogodzić. „Dla jednych świat jest wszędzie lub prawie wszędzie, dla drugich jest tylko w pewnym dość określonym miejscu, mimo iż współczesny układ stosunków tym drugim coraz mniej sprzyja" („Świata w sam raz"). Przeciążeni różnorakim zapatrzeniem bohaterowie Huszczy nazbyt łatwo popadają w odrętwienie — moralizatorstwo, by skończyć na jego konsekwencjach — osamotnieniu. Kto lubuje się w dopatrywaniu autorskiego porte-parole dopowie, że praprzyczyna spoczywa we „wspaniałym odosobnieniu" twórcy.

Nieszablonowym sposobem „odzyskiwania przeszłości" okazuje się antycypacja, która przez skarykaturowanie obecnych trendów pozwala zachować wobec nich nonkonformizm. Wynaturzenia „racjonalizacji procesów emocjonalnych" ilustruje przyszłościowe opowiadanie „Tabu" obrazami wyzwalającego się seksu, „cmentarzami pod parkingi" oraz natrectwem mechanicznych biedronek. Szczególny rys fantazji — sądzę, że nie skatalogowany przez Lema — odnajdzie czytelnik bez dodatkowych pouczeń, poniektóry (ziściwszy ponurą przepowiednię autora) z satysfakcją.

Na ostatek Huszcza — poeta, ujęty na tle pejzażu ze styku płci pt. „Izabela", a odcinający się wrażliwością w kreśleniu i odczuwaniu nastroju od zmanieryzowanej prozy. Historia zasobna w drażniące powikłania spóźnionego uczucia, strwożonego prawie sztubacką nieporadnością i nieprzydatnym doświadczeniem erotycznym. Więcej mówi o naturze mężczyzn usiłujących rozwikłać zagadkę kobiecości niż o niej samej. Podmiot, nie rozświetliwszy psychiki kobiety, ujawnia co krok własną pierwotność („Co jakiś czas korciło go, by ją także zbudzić. Dlaczego ona ma spać, gdy on cierpi, cierpi przez nią. Przez jej brak jakiegokolwiek taktu"), co z niejakim zadowoleniem skonstatuje niejeden badany obiekt.

Z powodów, o których nie miejsce tu pisać, „rwany" jest dość powszechnie, bez pokoleniowych barier, program telewizyjny z udziałem prof. Bardiniego. Uznawszy przecie, że coraz trudniej wyszukać w tzw. materiale ludzkim przeoczoną głębie przesłankę niezafałszowanej prawdy o życiu czy człowieku „w ogóle", za rozsądną miarę erupcji oryginalności jednostki przyjąć należy co najwyżej kilka odcinków, aforyzmów etc. „Nabrzmiałe sokiem papierówki" (ulubione owoce najsympatyczniejszych bohaterów „Pięknego życia dorosłych"), a więc dojrzałe, takież same i opowiadania Huszczy, nie są mniej smakowite od specjałów z konkurencyjnej branży. Trzeba jednak sięgnąć wyżej i wybrać.

BOGDAN MAZAN

Jan Huszcza, Piękne życie dorosłych. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1976.

FESTIWAL POEZJI

FOTO:
WŁODZIMIERZ PARYS

OBYCZAJE

PRZEPISY I LUDZIE

1.

Istnieją urzędy, które — z urzędu — mają do czynienia na co dzień z ludzkim bólem. Które z urzędu mają do czynienia z ludzkim cierpieniem. Ktoś komuś umarł — ktoś bliski, najbliższy i trzeba załatwić akt zgonu, pochować; załatwić dziesiątki formalnych spraw. W urzędach zajmujących się takimi sprawami powinny więc obowiązywać takie przepisy formalne, które umożliwią załatwianie owych bolesnych, najcięższych spraw w sposób przynajmniej kulturalny.

2.

Nauczyliśmy się już w pewnych urzędach — z urzędu — z szacunkiem, powagą, podniosłością ceremonialną nawet traktować ludzką radość: ślub, chrzciny. Nawet w Iksinowie do udzielenia ślubu urzędnik zakłada czystą koszulę i mimo zapalenia okostnej wciąga na swoją urzędniczą twarz służbowo-urzędniczy uśmiech okazjonalny. Uproszczone przepisy formalne przy zawieraniu małżeństw powodują, iż nawet panie urzędniczki, załatwiające wstępne formalności pozwalają sobie na luksus uśmiechu i uprzejmości. Poczekalnie w tychże urzędach — Stanach Cywilnych — wyłożone dywanami, wytworne, ciche, nastrojowe, nawet z kryształowymi kieliszkami do szampana w wyposażeniu służbowym — godnie, ceremonialnie, z namaszczeniem. Woźny? cieć? portier? — ze służbowym uśmiechem, w służbowym uniformie galowym podsuwa gościom weselnym miękkie fotele i czeka na swoją służową „piątkę". Wszyscy mają czyste uszy i taśma z Marszem Weselnym Mendelsohna zapewnia oprawę muzyczną. Kierownik Stanu Cywilnego składa nowożeńcom życzenia szczęścia, i nowożeńcy mu wierzą, wzruszeni; bo jest to chwila, w której najbardziej okazjonalna formuła brzmi wiarygodnie, szczerze i niesłużbowo.

3.

Nie nauczyliśmy się jednak traktować z szacunkiem ludzkiego cierpienia. Nie uznajemy powagi ceremoniału śmierci. Bo ten ceremoniał, to nie tylko sam pogrzeb. To również właśnie żmudne przygotowania do niego związane z formalnościami, od których uciec nie sposób, ale które mogą przebiegać nie tak brutalnie.

4.

Spośród wielu formalności związanych ze śmiercią jest jedna dość upokarzająca i chyba najbardziej bolesna. Podejmowanie za śmierć finansowych rekompensat. Umarł ci ktoś bliski, umarła matka, syn, córka i idziesz, człowieku, ze swym bólem, rozpaczą, ze swoją żałobą, dopełnić jeszcze jednej formalności. Należą ci się za twoją matkę, syna, córkę pieniądze. Tytułem ubezpieczenia.

Takie jest życie. Państwowy Zakład Ubezpieczeń ubezpieczył cię w twoim miejscu pracy i na tę ewentualność, na śmierć twoich najbliższych. Podpisywałeś podobne ubezpieczenie, nie zastanawiając się nawet nad jego treścią. Teraz idziesz po te pieniądze, najczęściej zresztą, aby je zwrócić zmarłemu, dołożyć na pomnik, na kwiaty na grób, na koszty pogrzebu choćby. Dopełnienie tych formalności kosztuje cię wiele. Ale idziesz, bo takie jest życie.

5.

Mojej młodej przyjaciółce, młodej mężatce, oczekującej właśnie dziecka, umarła matka. Z tytułu śmierci matki jej mężowi należą się pieniądze z PZU. Oboje zwalniają się z pracy; do rozmaitych papierków potrzebnych „na wszelki wypadek" dołączają wyciąg z aktu małżeństwa, poświadczony w Urzędzie Stanu Cywilnego, że ich związek jest trwały i aktualny. Pierwszego dnia nie załatwiają niczego; po trzech godzinach wyczekiwania w kolejce wśród innych stojących tu w celu załatwienia podobnych formalności odchodzą z kwitkiem. Pani Za Okienkiem kończy swoje urzędowanie. Cóż, ich wina, przyszli za późno, nie przewidzieli, że nie zmieszczą się w czasie przewidzianym na urzędowanie.

Następny raz. Znowu zwolnienia z pracy. Docierają do Pani Za Okienkiem — przedstawiają dokumenty, między innymi swoje dowody osobiste oraz akt zawarcia małżeństwa z adnotacją, iż małżeństwo jest trwałe. Ale w dowodach osobistych (z których już wynika dowodnie, że są małżeństwem) figurują pieczątki wskazujące na dwa różne adresy zamieszkania. Małżeństwo, które razem nie mieszka? I Pani Za Okienkiem czuje się w obowiązku zakwestionować po pierwsze: prawdziwość dowodów osobistych, po drugie: autentyczność aktu małżeńskiego, potwierdzonego na bieżąco w Urzędzie Stanu Cywilnego. Czuje się w swoim urzędniczym obowiązku zakwestionować — ponieważ: oto dowód jedyny i bezsprzeczny, że nie są małżeństwem — nie mieszkają razem. Pieczątki meldunkowe są dla Pani Za Okienkiem jedynym orzecznictwem prawnym. Więc Pani Za Okienkiem traktuje młodych ludzi stojących Przed Okienkiem jako parę oszustów i powołuje się na przepis. Przepis, który mówi, iż małżeństwo jest małżeństwem tylko wtedy, gdy mieszka razem. To małżeństwo Przed Okienkiem nie mieszka razem, więc nie jest małżeństwem, więc w myśl przepisu jest to para oszustów, która przyszła wyłudzić na PZU pieniądze. Akt zgonu jest autentyczny, stwierdza się niewątpliwe pokrewieństwo zmarłej z brzemienną oszustką, ale jest to oszustka, bo przyprowadza męża, który nie może — w myśl przepisów być jej mężem — ponieważ mieszka gdzie indziej. Fakt zaawansowanej ciąży młodej kobiety (pracownik naukowy Uniwersytetu Łódzkiego) Pani Za Okienkiem traktuje jako dowód złego prowadzenia się. Pada uwaga w rodzaju: — Do tego, aby mieć brzuch, mąż niepotrzebny. Młoda kobieta nie wytrzymuje nerwowo, zaczyna płakać. Natomiast Pani Za Okienkiem czuje się z racji przepisu upoważniona do przeprowadzenia śledztwa: Jeżeli jednak jesteście małżeństwem, dlaczego nie mieszkacie razem? Pani Za Okienkiem nie uznaje żadnych racji osobistych, tajemnic osobistych, intymnych, rodzinnych, Pani Za Okienkiem musi je poznać. Pani Za Okienkiem ma bowiem swój przepis. Pani Za Okienkiem żąda odpowiedzi na swoje indagacje: Dlaczego? Pani Za Okienkiem kicha na to, że rozmawia z ludźmi w żałobie, po stracie kogoś najbliższego, Pani Za Okienkiem domaga się, aby formalnościom i przepisom stało się zadość. Przepisy określają wyraźnie, a wy nie jesteście razem zameldowani. Pani Za Okienkiem chce wiedzieć, dlaczego to małżeństwo, jeżeli jest małżeństwem mieszka oddzielnie: dlaczego mąż u swoich rodziców, a żona u swoich? Pani Za Okienkiem wreszcie przyjmuje do wiadomości, że to małżeństwo tak sobie właśnie życzy mieszkać, to ich osobista sprawa, i że jedyny powód, jaki mogą podać to ten, iż czekają na swoje własne mieszkanie spółdzielcze. Pani Za Okienkiem żąda dowodu, że czekają na mieszkanie. Mają przynieść zaświadczenie ze spółdzielni, w której czekają. Że po pierwsze, czekają naprawdę, po drugie mają opłacony wkład, po trzecie, kiedyś to mieszkanie dostaną i po czwarte, że mąż, pan Kowalski, jest mężem pani Kowalskiej.

Za trzecim „podejściem" z odpowiednim zaświadczeniem ze spółdzielni formalnościom w toku czterdziestominutowego rozpatrywania całej sprawy od początku staje się zadość.

6.

Nie wymagam od PZU, aby korytarz do okienka załatwiającego formalności związane z ubezpieczeniami na wypadek śmierci wyłożyło dywanem, ustawiło palmy, fotele i puszczało Nokturn szopenowski. Ale można chyba wymagać na podstawie powyższego rewizji przepisów obowiązujących ten dział instytucji. I nie piszę tego, co powyżej — w obronie swojej przyjaciółki. Piszę w obronie tysięcy ludzi w żałobach, przewijających się Przed Okienkiem; których traktuje się mniej lub więcej brutalnie.

7.

Przepis broniący państwowych pieniędzy przed ewentualnymi oszustami a głoszący, iż małżeństwo musi mieszkać razem, aby je można było uznać za małżeństwo — nieżyciowym. Znam co najmniej kilkanaście małżeństw, które są małżeństwami, lecz ze względu na określone warunki mieszkaniowe, określone rodzinne układy muszą pozostawać aż do momentu otrzymania własnego mieszkania oddzielnie.

Znam też kilka małżeństw, które już małżeństwami nie są, bo przebywają w separacji, lecz mieszkają razem, pod wspólnym adresem i w dowodach mają stąd wspólny stempel meldunkowy. W stosunku do takiego małżeństwa Pani Za Okienkiem nie miałaby najmniejszych wątpliwości, jej wątpliwości rozwiałby bowiem ów maleńki stempelek. Nie potraktowałaby więc takiej pary jako pary oszustów. Przepis by jej na to nie pozwolił.

8.

Mam nadzieję, iż PZU nie wystosuje pisma w rodzaju: przepraszamy za niewłaściwy stosunek Pani Za Okienkiem, którą pouczyliśmy, i tak dalej. Nie chodzi tu bowiem już nawet o tę Panią. Można ją potraktować metaforycznie, chociaż jest z krwi i kości. Chodzi o to, czego się metaforycznie potraktować nie da. O przepisy.

EWA OSTROWSKA

FOTO: WŁODZIMIERZ MAŁEK

W PRAWDZIWYM KLIMACIE SZTUKI

Powodzenie imprezy festiwalowej wydaje się pewniejszym miernikiem artystycznego na nią zapotrzebowania niż największe nawet zainteresowanie konkursem, któremu zawsze towarzyszy obca sztuce emocja typu: „kto wygra", a w dodatku — „nasz, czy nie nasz". Na festiwalu nikt się nie cieszy z cudzego upadku, nie życzy przyjezdnym połamania rąk i nóg, a własnym pupilom — zwycięstwa za każdą cenę, choćby walkowerem. Poplecznicy pani x nie adresują obelżywych anonimów do pani y, nikt się nie wyżywa w układaniu kalamburów na literę „k". Plotki usychają w wąskim gronie profesjonalistów.

Bezstronne zaciekawienie każdą nową kreacją, życzliwe sprzyjanie najlepszym, aplauz i wdzięczność za chwilę artystycznej satysfakcji wytwarzają wokół imprezy festiwalowej, jaką są też łódzkie spotkania baletowe, niepowtarzalną atmosferę prawdziwie kulturalnego współuczestnictwa, klimat, w którym rozwija się znawstwo.

Mamy piętnaście wieczorów baletowych poza sobą. Kto musiał pisać o każdym z nich z osobna, przed obejrzeniem całości imprezy, odczuwał zapewne, zwłaszcza na początku, brak tego szerszego układu odniesienia, pomocnego w porównawczej ocenie zespołów. Komu przypada pisać z perspektywy zamkniętej konfrontacji, temu zatarła się już w pamięci świeżość bezpośrednich doznań. Chcąc nie chcąc, porządkuje całość według domniemanych prawidłowości.

Wydaje mi się, że ostatnie spotkania, piąte już z kolei, były bardzo pouczające, ponieważ ujawniły współistnienie mocno różniących się, żeby nie powiedzieć — wykluczających się wzajemnie artystycznych postaw współczesnych choreografów. Tak dalece różnych postaw, że można chyba zaniepokoić się: czy już doprawdy nie wiadomo — co w sztuce jest prawdą a co fałszem...

Nieunikniony jest wprawdzie subiektywizm ocen, ale nie wolno też chyba nikomu uchylać się od respektowania powszechnie uznawanych prawideł sztuki, każdej sztuki, niezależnie od jej specyficznego języka artystycznego. Zresztą w teorii bodaj wszyscy na jedno się godzą, a przynajmniej to samo deklarują: oszczędność środków wyrazu, traktowanie techniki jedynie jako środka, nie zaś jako samoistnego celu; posługiwanie się sposobami przynależnymi danej dyscyplinie twórczości, bez niepożądanych przypadkowych wtrętów; jednolitość przyjętej poetyki.

I właśnie upewniłem się w trakcie ostatnich spotkań baletowych, że bądź to świadome, bądź niezamierzone uchybienia przeciwko tym ogólnoartystycznym zasadom były główną przyczyną dysonansu, nawet w dziełach słynnych choreografów, może ważniejszą jeszcze od niedoskonałości warsztatu wykonawczego. Te ostatnie, owszem, irytują, ale nie wywołują rozterek i nieporozumień wśród odbiorców.

Bo doprawdy strindbergowska Panna Julia, przetłumaczona na język baletu na zasadzie odtwarzania fabuły za pomocą imitacji teatru dramatycznego, a więc w sposób poniekąd pantomimiczny, nie może, mimo najlepszych chęci i umiejętności wykonawców stać się kreacją artystyczną. Nie ożywia wyobraźni, bo nie zostawia dla niej pola. To już nie teatr, kiedy Panna Julia każe niechcianemu adoratorowi skakać przez laskę, ale jeszcze nie balet, lecz powierzchowna pantomima, bez tego stylizacyjnego przerysowania, jakim umie się posługiwać Henryk Tomaszewski lub — w balecie — Conrad Drzewiecki.

Niczego się też nie wskóra, nawet nad Sekwaną, gdy — dla odmiany — konstrukcje choreograficzne w większości wypadków wspierają się na skromnym repertuarze ruchowych możliwości, jakimi na dobrą sprawę rozporządza każdy adept sztuki aktorskiej. I mieliśmy wtedy u gości z Paryża (ach, jak to słowo magicznie oddziałuje przy naprawdę świetnej reklamie!) coś w rodzaju scenek egzaminacyjnych do szkoły teatralnej. Mimo iż stać ich było na atrakcyjny, autentyczny taniec w happeningowej „Fusion".

Popis techniki, wirtuozeria, demonstrowanie sprawności samej dla siebie — z tym też mieliśmy do czynienia. Dobrze jeszcze jeśli technika idzie w parze z artystycznymi środkami wyrazu, jak po części u fenomenalnie skocznego Wiktora Sarkisjana, gorzej jeśli cielesna sprawność i wytrzymałość tancerza poddawana jest przykrej dla widza próbie, jak w budapeszteńskim „Mandarynie", kiedy to solista powieszony za nogę zwisa w nieskończoność głową w dół. Podziwialiśmy bez zastrzeżeń technikę jako element podporządkowany tanecznemu układowi w znakomitym solowym „Ptaku" w wykonaniu „Woytka" Wiesiołłowskiego.

Balet to oczywiście też i rzemiosło; choreografia, to oczywiście też rozwiązywanie przez twórcę problemów warsztatowych. Ale etiudy nie zawsze są godne prezentacji poza kręgiem specjalistów i może nie tyle irytowały one na spotkaniach, ile raczej rodziły uczucie czczości. Tych rzeczy zresztą nie da się chyba wyeliminować z żadnego festiwalu, a ponadto łatwo tu popełnić, jak mi się wydaje, błąd w ocenie: często zła percepcja muzyki sprawia, że taniec wydaje się „jałowy" i jakby niemy. Było w utworach festiwalowych sporo muzyki bardzo trudnej w odbiorze dla mało osłuchanych widzów, w tych przypadkach trudno im musiało być nawiązać kontakt z wykonywanym tańcem.

Co na spotkaniach było najlepsze, to balet w swojej właściwej funkcji — nie imitacyjny, nie sprawnościowo-techniczny, nie „filozoficzny", lecz wyrażający przeżycia i odwołujący się — podobnie jak muzyka — do elementarnych emocji i nastrojów. Zaliczyłbym tu naszego łódzkiego harmonijnie zrównoważonego i szlachetnego w wyrazie „Orfeusza", obie bejartowskie realizacje zespołu budapeszteńskiego „Czyżby to była śmierć" i „Ognisty ptak", miniaturę taneczną „Adam i Ewa" w stołecznym wykonaniu, „Odwieczne pieśni" wykonywane przez Polski Teatr Tańca z Poznania (i nawet kontrowersyjny „Modus vivendi"), a nade wszystko — znakomity Balet Flandryjski w całym właściwie swoim programie. Bo i stylowy Bach, i dawne sceny baletowe „Salve Antwerpia", i wstrząsający egzotyczny Ritus Paganus, i z urzekającą lekkością wykonane dowcipne Offenbach Folies, i wszystko pozostałe.

Pozazdrościć belgijskim tancerzom artystycznego kierownictwa, sprawowanego przez panią Jeanne Brabants. Nie muszą gimnastykować się w jałowych wprawkach technicznych, udawać na siłę dramatu psychologicznego, mizdrzyć się folklorystycznie w stylu świetlicowym, natężać się filozoficznie. Z wielką precyzją i elegancją (niespotykana męska grupa baletowa!) tańczą utwory ambitne artystycznie, umieją się skoncentrować psychicznie, są piękni w geście i pełni niewymuszonego wdzięku. Wszystko kiedy trzeba i na swoim miejscu. I, proszę sobie wyobrazić, tańczą same rzeczy nadające się do tańca.

JERZY KWIECIŃSKI

ANDRZEJ MAJER

NIEDZIELA Z DESZCZEM

Od wysokich, szarawych murów odbija się głośnym echem ćwierkanie wróbli. Dziedziniec jest pusty, z rozpiętych w poprzek drutów zwisają smutno ciężkie od wilgoci flagi: czerwone, pomarańczowe, zielone. Pada nieustępliwy deszcz. Niebo ciemne od chmur nie wróży nic pocieszającego. Niedziela w muzeum — barwne widowisko w szacownych murach pałacu Poznańskich ma tego roku, jak nigdy, pecha do pogody.

1.

W bramie od ulicy Więckowskiego rozsiedli się umundurowani, połyskujący bielą koszul muzycy. Orkiestra Zakładów im. Marchlewskiego wygrywa dziwnie czysto, z pełnym rezygnacji spokojem wesołe przeboje: „Pa, pa, pa, Niby nic, a tak to się..." Jest na pewno w tej orkiestrze siła wytrwania w przenikliwym zimnie przeciągu bramy. Co pewien czas otwiera boczne drzwi ciekawy widz, zagląda do zwojów lśniących waltorni, patrzy ponad plecami grających na miarowe ruchy kapelmistrza — i ucieka w ciepło muzealnego gmachu. W szatni wyciągają głowy w stronę wejścia młodzi ludzie ze znakami „Muzeum" w klapach, pospiesznie wymieniają ostatnie uwagi odświętnie uczesane panie w błękitnych fartuchach. Zaczęło się!

Pierwsi goście z zażenowaniem rozglądają się wokoło, zatrzymują wzrok na kolorowych plakatach z obcojęzycznymi napisami. Już jest gwarno, już szum rozmów zagłusza brzęczące w głośnikach takty nowego szlagieru orkiestry. Ciekawe kto domyśla się że tkwi ona tuż obok w bramie...

Szeroko otwarte drzwi prowadzą na wystawę w sali zalanej jarzeniowym blaskiem; zapraszają tu pełne nerwowego podniecenia, ale sympatycznie życzliwe uśmiechy pracowników Muzeum Sztuki.

Janina Siennicka:

— Trochę tu za dużo ludzi, żeby można było wszystko dokładnie obejrzeć. Niektóre obrazy podobają mi się, choć od nowoczesnego wolę to malarstwo normalne, realistyczne. Dużo tu portretów Witkiewicza dobrych w kolorze. Najweselszy jest chyba obraz Markowskiego „Uśmiechnięty koń". Pokazują też dwie prace Hasiora, którego bardzo polubiłam po programie w telewizji. „Powiatowy telewizor" jest dla mnie więcej rzeźbą niż obrazem, choć dziś nie bardzo już wiadomo co się jak nazywa. To bardzo dowcipna rzecz. Hasior pokazał dużo wyobraźni.

Wystawa nabytków **„Prezentujemy po raz pierwszy"** oglądana jest w skupieniu; kilka osób wymienia głośne uwagi przy kolekcji Witkacego — „przekrojowe" rewelacje o skandalach i narkomanii malarza.

2.

Na piętrze, prosto w drzwi usadowiły się panie ze stoiskiem cepeliowskich wazonów, pstrokato kolorowych ptaszków i klekoczących kółek. Pseudoludowa „masówka" wyłożona jest na niskich białych gablotach — pamięć łatwo kojarzy je z przedziwnym uniformem setek muzealnych wystaw. Zainteresowanie stoiskiem jest duże, chętni nie mieszczą się w wąskim korytarzyku i przepychają. Pamiątki z Muzeum — katalogi i reprodukcje wyraźnie nie idą przy szatni. I chociaż w skromnym kramiku **„Cepelii"** kupić można wszystko to, co w salonach na Piotrkowskiej. Gabloty szybko opróżniają się. Daje o sobie znać nieszkodliwy snobizm pozbycia się kilkudziesięciu złotych przeznaczonych na kulturalną niedzielę.

Parter zatrzymuje coraz to nowych gości przy stoisku **„Domu Książki"**, który potraktował imprezę z należytą powagą: można tu kupić kilka wyczerpanych już tytułów książek o sztuce, trochę popularnych encyklopedii.

3.

Pośród rozwieszonych na ścianach ciemnych, holenderskich martwych natur i pejzaży w złoconych ramach stoją rzędem sztalugi z przytwierdzonymi deskami do rysowania. Za chwilę rozpocznie się konkurs dla dzieci na akwarelowy lub kredkowy malunek: **„Moja wizyta w muzeum"**. Małych ochotników nie jest na początek zbyt wielu. Stoją zwartą gromadką wokół dziewczyny, która z wprawą doświadczonego pedagoga objaśnia zawiłe cele i regulaminy konkursu. Ostrzeżenie o spodziewanym rozstrzygnięciu przez „prawdziwe jury" nie wywołuje jakoś wrażenia; póki co z pełnym podziwu uznaniem przyjmowane są uporczywe próby zaglądania do pudeł ze słodkimi nagrodami.

Mówi Katarzyna **Pawłowska**, pracownik Muzeum:

— Konkurs był przeprowadzony z okazji Dnia Dziecka, poza tym jako kontynuacja imprez, które robimy dla dzieci od paru już lat. Dzieci bawiły się bardzo dobrze, wyraźnie przejęte atmosferą muzeum. Malowanie na zadany temat w praktyce się nie sprawdza, ostatecznie tematyka prac była bardzo różna, a poziom nadspodziewanie wysoki.

Po skończonym konkursie wyróżnione prace pozostają na sztalugach w szacownym sąsiedztwie XVII- i XVIII-wiecznych płócien. Popołudniowi goście nie znają historii tego mariażu; mijają skupionym spojrzeniem ciemne płótna i barwną dziecięcą bazgraninę. Jesteśmy w Muzeum Sztuki, tutaj żadne osobliwości nie powinny dziwić; jesteśmy na Niedzieli w Muzeum...

— Duże brawa dla dzianiny Interlock drukowanej drukiem transferowym, tutaj jest za mało światła żeby można było docenić te walory, ale dzianina wygląda jak naturalny jedwab — monotonny, lecz zdecydowanie fachowy monolog pani komentującej pokaz mody z tkanin **„Teofilów"** miesza się z oklaskami. Modelki i modele tanecznym krokiem przesuwają się miarowo ze zdawkowym, różowym od kosmetyków retro uśmiechem. Wzrok bajecznie zgrabnych dziewczyn błądzi ponad głowami, zatrzymuje się na plamach barwnych płócien. Nowoczesne malarstwo także wyraźnie zyskuje; ruch i muzyka zlewają się w kolorowy spektakl, w którym powoli zatraca się granica między urodą młodych ludzi, strojów, obrazów. Jednostajny głos spikerki ożywia się na chwilę, to są kolekcje awangardowej mody — podkreśla — szyte z tkanin o europejskiej kolorystyce. Dziwnie pasują do siebie współczesna moda i sztuka, obie jednakowo zmienne.

5.

Strzelają gdzieś z boku korki szampana, panienki zwinnie rozdają szklaneczki i kielichy. Zaczął się wernisaż wystawy **„Formy elementarne"** współczesnych artystów holenderskich. Uśmiechnięci Holendrzy z uwagą obserwują hałaśliwy tłumek, rejestrują spojrzenia, odruchowo próbują zrozumieć treści rozmów. Wernisażowy rytuał nie różni się zapewne od ich wyobrażenia choć goście mniej może namaszczeni niżby należało. Dziś przecież **NIEDZIELA W MUZEUM** — Dimanche au museé... Flegmatyczni Holendrzy kiwają z uznaniem i wyrozumieniem głowami.

Gustaw Romanowski, krytyk sztuki:
— Jest tu prezentowany typ twórczości, którą u nas stopniowo się porzuca i od której się odchodzi — ściślej kontynuacji tego, co robił Strzemiński. Co szczególnie dziwne — jest to w większym stopniu rozwijanie myśli samego Strzemińskiego niż holenderskiej awangardy 20-lecia międzywojennego; Mondriana, Vantongerloo. Okazuje się, że -mimo iż niektórzy skłonni byli uznać okres międzywojenny za definitywnie zamknięty a doświadczenia awangardy za historyczne, można w tym samym nurcie — nie zaprzeczając samej warsztatowej istocie malarstwa — zrobić jeszcze bardzo dużo i to w formie niezwykle klarownej, czystej; ascetycznej a jednocześnie urzekającej prostotą. Jest to zjawisko interesujące dla mnie, ale sądzę, że również dla polskich twórców. Być może spowoduje, że popatrzą raz jeszcze nieco inaczej na rodzime doświadczenia i tradycje w tym nurcie sztuki.

W kilkanaście minut po zamknięciu wernisażowego obrzędu sala galerii wystaw czasowych pustoszeje. Nieliczni ciekawscy wycofują się stąd prędko, zrażeni pustką i chropowatym ascetyzmem obrazów. Nie dociera tu muzyka i wesołe nawoływania z głośników. W żółtawej bieli ścian dźwięczą ściszone szepty pilnujących — dwojga starszych ludzi; brzmią jak utarczka wiernych sekciarskiej świątyni.

6.

Pomiędzy ludźmi przesuwają się jak zjawy w sukniach do ziemi uróżowione dziewczyny — modelki, dzwonią połyskującymi na ich szyjach, głowach i przegubach dłoni ozdobami. Docent **Lena Kowalewicz** z pracownic **Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych** pokazuje unikatową **(„nie do noszenia, do oglądania")** biżuterię — jakby fragmenty pancerzy, napierśników, diademów. Panowie skłonni są podziwiać najzupełniej udaną kolekcję prezenterek; ich towarzyszki zachowują połączoną z uznaniem rezerwę. Modelki krążą po piętrach niczym szwadron staroegipskiej piechoty, ciągnąc za sobą gromadkę rozbawionych dzieci — najwierniejszych kibiców. Ich odkryte ramiona pokrywają się gęsią skórką. Jest zimno, pada na dziedzińcu nieustępliwy deszczyk.

7.

Dziewięcioletnia Ania Leszczyńska:

— Przychodzę do Muzeum często, czasem nawet sama. Malowałam dziś w konkursie. Nic nie wygrałam, ale w ogóle tu mi się podoba.

8.

Jest popołudnie, tradycyjna pora niedzielnego obiadu. W kawiarnianym bufecie na ostatnim piętrze największe powodzenie mają kanapki z szynką i ogórkiem, ale najczęściej zaglądają tu młodzi pracownicy muzeum. Są zmęczeni, podnieceni, wymieniają głośne uwagi. Rano w pośpiechu przenosili podesty, stoły i gabloty z dziedzińca do wnętrza gmachu; teraz tylko doglądają swojej imprezy „żeby szła". Jest dobrze, dużo ludzi, żadnych kłopotów.

— Telewizja kręci na galerii cały czas, na pewno znów będzie z tego dobry film.

Na podłodze rozsiadła się grupka niedbale odzianych długowłosych, słuchają z kasetowego magnetofonu płaczliwej studenckiej ballady wystukując palcami miarowy rytm.

9.

Godzina 16.30.

— Z przyczyn naprawdę obiektywnych nie odbędzie się koncert zespołu Ekspresja 4 w ramach Jazzu z Indeksem.

W mrocznej sali I piętra — jedynej sali świadczącej o pofabrykanckim pochodzeniu budynku — rozstawia instrumenty **Zespół Muzyki i Poezji Dawnej Łódzkiej Filharmonii.** Palą się wolno świece w złotych lichtarzach, błyszczący werniks obrazu postawionego obok solisty odbija snop reflektorowego światła. Trwa godzina muzyki i spokoju. Pusto jest na galeriach, zniknęły kramiki z książkami i cepeliowskimi dzbankami. Kończy się powoli odpustowy rozgardiasz w przybytku sztuki, cichnie **NIEDZIELA W MUZEUM.**

10.

Niełatwo imprezę tak nietypową skwitować zręcznym komplementem lub celną krytyką. Cały zespół pracowników stanął na wysokości zadania, trzeba by ich chwalić za autentyczne zaangażowanie i pasję działaczy. Ilu było widzów — trudno zliczyć, dwa, może dwa i pół tysiąca. To niewątpliwy sukces samego pomysłu, sprawdzonego zresztą w poprzednich dwóch latach. Chociaż... komplementy należą się chyba przede wszystkim publiczności — „starej gwardii" wiernej Muzeum, niezawodnej nawet wtedy, gdy idzie tu nudnawy pokaz filmów o Matejce i Chełmońskim. Nie jestem pewien czy trafiły tu nowe twarze: czy przywiodło je coś więcej niż konieczność spędzenia jeszcze jednej niedzieli z deszczem.

Foto: Janusz Kubik

FILM

SAMOTNOŚĆ po SZWEDZKU

Na afiszu filmu „Bez wyjścia" reżysera Stiga Björkmana figuruje nazwisko Harriet Anderson. Nazwisko, które zastępuje każdą reklamę. Harrien Anderson należy do ulubionych aktorek Jngmara Bergmana. Grała w takich m. in. filmach, jak: „Wakacje z Moniką", „Wieczór kuglarzy", „Lekcja miłości", „Uśmiech nocy", „Jak w zwierciadle" oraz w „Krzykach i szeptach". Bibi Anderson, Ewa Dalbeck, Ingrid Thulin, Liv Ullman — to także aktorki bergmanowskie. Takiego określenia, a przy tym określenia nobilitującego, właściwie nie znają dzieje kina. Ingmar Bergman, jako jedyny reżyser, z uporem i konsekwencją prowadzi swój dyskurs o człowieku, czyniąc kobiety i ich świat wewnętrzny głównym tematem swych zainteresowań. W jego też filmach aktorki osiągają szczyty umiejętności swego zawodu, albo inaczej, wydaje się, że to Bergman kształtuje je wedle własnej woli i wyobraźni, wydobywając z każdej wszystko z jej indywidualnej, fizycznej i psychicznej osobowości. Uświadamia im to, co w nich najcenniejsze. Procentuje to później w filmach innych reżyserów, to oczywiste, lecz nigdy aktorki te nie grają tam tak, jak u Bergmana. W ostatnim czasie mamy kilka na to dowodów: rolę Liv Ullmann w „Emigrantach" Jana Troella, rolę Bibi Anderson w „Rywalce" Sergia Gobbi i wreszcie Harriet Andersson w filmie „Bez wyjścia", Stiga Björkmana. Dwaj z tych reżyserów to Szwedzi, zatem nie zmiana środowiska, w którym powstaje rola, decyduje o innej jej wartości, lecz człowiek, który potrafi ją ukształtować.

Harriet Anderson, mimo to, dźwiga film Stiga Björkmana z pasją i samozaparciem godnym podziwu. Gdyby nie ona, całe szlachetne skądinąd przedsięwzięcie zawaliłoby się chyba. Dramatyczny tytuł filmu wprowadza od razu w środek problemów będących przedmiotem dywagacji reżysera. Tytuł ten ma też zastąpić niestety pełny bagaż argumentów, które doprowadzić mają do konstatacji, że faktycznie bohaterka filmu, Monika Larsson, znajduje się w sytuacji bez wyjścia. Że sytuacja ta jest taka, wierzyć można bez przedstawionej nam w filmie opowieści. Los i smutek samotnych kobiet wygląda wszędzie podobnie, podobnie w sensie psychologicznym, różnie nieco w sensie społecznym. Słabą stroną filmu „Bez wyjścia" jest, w mym przekonaniu, właśnie jego warstwa psychologiczna, ciekawa zaś — społeczna.

Opuszczona przez męża 35-letnia Monika Larsson żyje sama z 8-letnim dzieckiem. Pustki samotnych dni nie wypełnia jej praca, dlatego — że nie może jej zdobyć. Nie jest to jednak film o bezrobociu w Szwecji. Jest natomiast w tym filmie jedna świetna scena, która wiele mówi o społeczno-ekonomicznym życiu tego kraju. W staraniach o pracę Monika uświadamia sobie, że kilka lat egzystencji w tzw. roli „przy mężu" sprawiło, że wypadła z rytmu, w jakim w tym czasie jej współobywatele kroczyli ku wyższym szczeblom organizacji i metod pracy. Kilka lat wystarczy, by mieszkaniec Szwecji, aktywnie w jej życiu nie uczestniczący, okazał się już konserwatywnym i niewykwalifikowanym pracownikiem, bezużytecznym społecznie człowiekiem. Taka krzywa postępu budzi podziw i przerażenie. Po tej scenie zaczyna się innym okiem patrzeć na ulice, sklepy, domy i lokale, w których przebywa Monika. Sterylność obrazów w filmie tym pokazanych zaczyna znaczyć coś więcej, niż czystość porządek i bogactwo miasta Sztokholmu, w którym żyje Monika Larsson.

Być może dlatego właśnie przedstawiony przez Björkmana wewnętrzny świat bohaterki wydał mi się nieco pusty i banalny. Duszne przeżycia kobiet bywają głębsze i ciekawsze niż te, które w filmie tym pokazano. Nie chcę tu już cytować Bergmana, wystarczy, że wspomnę choćby tylko, o dziwo, nasze filmy, a więc filmy Krzysztofa Zanussiego, czy nawet film „W środku lata" Feliksa Falka. Być może, intensywność i głębia przeżyć Moniki Larsson przedstawiona została w skali odpowiedniej wobec możliwości człowieka, ukształtowanego przez świat, który go otacza, a reżyser Björkman w przedstawionym przez siebie studium kobiety zagubionej „w samym środku Szwecji", był wobec jej autentycznego portretu uczciwy. Ciągle mi jednak w tym miejscu przeszkadza Ingmar Bergman, jako że nie o kim innym, lecz o Szwedkach swe filmy robił, odnajdując w nich „wieczną kobiecość", nie inna przecież pod zimnym niebem Północy. Jego aktorka też o tym wie, toteż kilka scen tego filmu wyłamuje się z rygorów intencji Björkmana i Harriet Andersson gra wówczas całą swą duszą, mówiąc o smutku, samotności i gestach desperackiej rozpaczy kobiet, którym życie nie dało szansy miłości.

EWA NURCZYŃSKA

TEATR

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

WYBOISTE DROGI POLSKIEJ DRAMATURGII

Do Wrocławia przyjechałem mniej więcej w połowie trwania XVII FESTIWALU POLSKICH SZTUK WSPÓŁCZESNYCH (24—29.V. br.) i trafiłem z miejsca w gorącą atmosferę. Właśnie poprzedniego wieczoru Teatr Nowy z Poznania wystąpił z inscenizacją sztuki Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz „Wijuny". Reżyserowała Izabella Cywińska. W dwóch porannych gazetach wrocławskich wyczytałem poglądy przeciwstawne na to przedstawienie, przy czym jeden z recenzentów zarzucał teatrowi, że źle się przysłużył tej mrocznej, owianej atmosferą mistyki i zabobonu sztuce, drugi zaś poddawał w wątpliwość sens wystawienia tak ateatralnego utworu.

Wśród gości festiwalowych wytworzyły się dwa obozy: tych co bronili teatru przed **„Wijunami"** i tych co bronili **„Wijun"** (Wijunów?) przed teatrem. Trzecie i chyba najsłuszniejsze stanowisko zajął na sesji poświęconej tendencjom rozwojowym teatru polskiego i jego miejscu w świecie redaktor naczelny czasopisma **„Teatr" Henryk Bieniewski.** Przyznał on, że autorka ujawnia w swym tekście małe jeszcze doświadczenie w pisaniu dla teatru (dotąd zajmowała się tworzeniem słuchowisk radiowych), ale pochwalił teatr poznański i jego ambitną dyrektorkę za wystawienie **„Wijun"** i za duży wysiłek włożony w ich uteatralnienie.

Teatry nasze obowiązane są grać nowe sztuki polskich dramatopisarzy — stwierdził H. Bieniewski (nie cytuję tej wypowiedzi dosłownie, raczej streszczam jej intencje) — nawet jeśli nie są one jeszcze doskonałe. Tylko umożliwienie autorom obejrzenia własnej produkcji na scenie, owa „próba ognia" i uczenie się na własnych błędach, prowadzić może do rozwoju rodzimej dramaturgii współczesnej, na której słabości tak wszyscy utyskujemy. Trzeba dopuszczać na sceny licznych, nowych autorów, a nie zasklepiać się w zamkniętym kręgu: Mrożek — Różewicz — ewentualnie Bryll.

Pozytywna ocena przedstawienia poznańskiego znalazła w parę dni później potwierdzenie w werdykcie jury, obradującego pod przewodnictwem **Jana Machulskiego** (który jest nie tylko współtwórcą warszawskiego Teatru Ochoty i reżyserem Teatru Narodowego, ale także — o czym łodzianom wiedzieć wypada — profesorem Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi): **Izabelli Cywińskiej** przyznano jedną z głównych nagród reżyserskich właśnie za **„Wijuny".** Dobrze się stało, że jury zajęło takie właśnie stanowisko, które nie zniechęca, lecz przeciwnie animuje teatry do śmielszych poszukiwań na obszarze współczesnej dramaturgii. A taki jest chyba główny cel festiwalu wrocławskiego, który od siedemnastu lat lansuje lepiej czy gorzej, ale z godnym pochwały uporem polską dramaturgię i ma w jej propagowaniu niezaprzeczalne zasługi.

Chwała więc niestrudzonym organizatorom festiwalu za stworzenie i kontynuowanie tej pożytecznej imprezy, stanowiącej wraz z konkursem dramaturgicznym (ostatni, rozstrzygnięty w grudniu ub. r. był już czwartym z rzędu) jedną z nielicznych u nas trwałych form zachęty dla dramatopisarzy i dla teatrów wystawiających polskie sztuki współczesne. Tej zachęty zaś potrzeba jak ożywczej wody na pustyni. Festiwalowi towarzyszy odświętna oprawa, w śródmieściu Wrocławia niemal co krok natknąć się można na kolorową i estetyczną reklamę tej imprezy, nie zawodzi także publiczność wrocławska, szczelnie wypełniająca widownię na spektaklach festiwalowych i żywo na nie reagująca. Ściągają na te doroczne dramaturgiczne żniwa krytycy teatralni z całej Polski.

W tym roku można było widzieć na konkursowych przedstawieniach takie tuzy jak **Konstanty Puzyna** („Dialog"), **Zygmunt Greń i Elżbieta Morawiec** („Życie Literackie"), **Jan Kłossowicz** („Literatura"), **Roman Szydłowski** („Trybuna Ludu"), **August Grodzicki** („Życie Warszawy"), **Marian Sienkiewicz** („Przekrój") i wielu innych. Mało natomiast było wśród widzów festiwalowych (rzecz znamienna!) dyrektorów teatrów, reżyserów i kierowników literackich, jeżeli nie liczyć tych, którzy przyjechali z własnymi spektaklami.

Jak widać, z tymi zielonymi światłami zapalonymi dla współczesnej dramaturgii polskiej to gruba przesada. Teatry nie śledzą w sposób poważny produkcji dramatopisarskiej, nie próbują we współpracy z autorami dopracowywać się wartościowych przedstawień. Okazuje się, że łatwiej jest utyskiwać na brak dobrych sztuk krajowych niż wziąć na swe barki część ryzyka ewentualnego niepowodzenia. Jeśli już polska sztuka współczesna na afiszu, to niech to będzie pewniak: Mrożek, Różewicz, no, ostatecznie Iredyński. Nie ma prawie przypadków lansowania autorów spoza wypróbowanego grona.

Foto: W. Plewiński

Sporą dozę winy ponoszą tu i krytycy teatralni, którzy nie stwarzają wokół premier sztuk współczesnych atmosfery życzliwości i zainteresowania. Nie, nie chodzi o żadne taryfy ulgowe, czy protekcjonalne poklepywanie po ramieniu. To oznaczałoby brak szacunku dla pisarzy. Niech to będzie analiza nawet surowa, ale rzeczowa i konstruktywna, nie przeoczająca elementów pozytywnych i nie skupiająca się wyłącznie na przysłowiowych dziurach w serze.

Burza wybuchła po wystawieniu przez **Teatr Nowy** z Warszawy **„Misji" Henryka Bardijewskiego.** Jest to wypróbowany od lat autor słuchowisk radiowych, operujący znakomicie dialogiem i obdarzony swoistym, grawitującym ku surrealizmowi humorem. **„Misja"** jest jego debiutem teatralnym. Po zaprezentowaniu jej na **Scenie Propozycji** przy **Teatrze Nowym** w Warszawie dyr. **Mariusz Dmochowski** zdecydował się wystawić tę sztukę na normalnej scenie, dopatrując się w niej zadatków na wartościowe przedstawienie. **„Misja"** ma braki dramaturgiczne, zwłaszcza w konstrukcji całości. Spektakl **Teatru Nowego** jeszcze je podkreślił pewną jednostajnością zastosowanych środków inscenizacyjnych. Ale dialog jest wartki, osadzony mocno w realiach współczesnych, iskrzący się dowcipem.

Gdyby mnie ktoś zapytał, czy należy grać **„Misję"** na scenie, odpowiedziałbym pozytywnie bez wahania. Nie narzucałbym jednak swego zdania innym w sposób tak arbitralny, jak to uczynili dziennikarze wrocławscy. Nie podobała im się sztuka i przedstawienie? Ich prawo dać temu wyraz na łamach gazety. Idzie o to, w jaki sposób to uczynili.

„Nie ze mną takie numery Brunner" — zaczyna recenzję (?) jeden z nich (swój chwyt polemiczny wyprowadza z tego, że jedną z głównych ról w „Misji" gra Emil Karewicz, niezapomniany gestapowiec Brunner ze „Stawki większej niż życie". Przedni dowcip, prawda?).

„...widownia się śmieje, czasami klaszcze, cieszy się z aluzji. To prawda". — wtóruje sprawozdawca drugiej gazety — **„Chwilami nawet wstydziłem się za wrocławską publiczność"** — dodaje.

Niech każdy wstydzi się na własny rachunek. Pozwolić wrocławskiej publiczności kwitować sztukę zgodnie z własnym odczuciem, a użyte dalej wyrażenie „skandal" zarezerwujmy raczej dla niektórych nieodpowiedzialnych publikacji prasowych. Jeśli prasie wrocławskiej, przepraszam! niektórym jej przedstawicielom, zależy na zniechęceniu autorów do pisania, a teatrów do prób ich wystawiania, to w sprawie **„Misji"** przeprowadzili to bezbłędnie.

Tylko jeszcze jedna uwaga à propos sprawozdań prasowych z **„Misji".** Autor publikacji w **„Słowie Polskim"** pisze: **„Bardzo osobiście lubię skecze, jeśli dobre... Nie wiem natomiast czy skeczowy serial mieści się w formule s z t u k..."** (podkreślenie autora, kryjącego się wytwornie za kryptonimem „beb" — W.O.).

Skąd biorą się wątpliwości „beb" natury teoretycznej? Czy nie jesteśmy dziś na każdym kroku świadkami absolutnego zacierania się kryteriów formalnych? Czy nie bronicie „czystości" formuły z pozycji całkowicie anachronicznych? Sami sobie zresztą przeczycie, wychwalając w tej samej publikacji **„Marię" Ireneusza Iredyńskiego,** która także przecież nie mieści się w tradycyjnie pojętym modelu dramatu scenicznego.

Użyłem sobie na recenzentach, choć sam uprawiam tę formę dziennikarską od lat blisko trzydziestu. Jeszcze chyba ostrzejszą odprawę, bo w znacznie szerszej płaszczyźnie, dał krytykom teatralnym dyr. **Kazimierz Dejmek** i to przyjmując z ich rąk we Wrocławiu doroczną Nagrodę im. Boya za inscenizację i reżyserię **„Operetki" Witolda Gombrowicza.** Wypomniał on recenzentom, że publikacjami swymi robią jakże często złą przysługę naszemu teatrowi. Sporo było w tych słowach osobistej goryczy, ale i niewątpliwie ziarno prawdy... Nostra culpa!

Łódź reprezentowana była na XVII Festiwalu przez **Teatr Nowy,** który z powodzeniem przedstawił publiczności wrocławskiej swą czystą warsztatowo i obfitującą w kreacje aktorskie inscenizację **„Garbusa".** Była to obok przedstawienia **„Wyszedł z domu" — T. Różewicza i „Ślubu" W. Gombrowicza** (oba spektakle: **Teatr Polski Wrocław**) najlepsza prezentacja wrocławskiej imprezy. Nic dziwnego też, że **Kazimierz Dejmek** oraz **Piotr Paradowski, Jerzy Grzegorzewski** i wspomniana już **Izabella Cywińska** otrzymali nagrody reżyserskie.

Osobne miejsce należy się monodramowi **„Maria" I. Iredyńskiego** w koncertowym wykonaniu **Zofii Kucówny (Teatr Narodowy** w Warszawie, reż. **Adam Hanuszkiewicz).** Było to wielkie przeżycie, choć z innej sfery, kwalifikujące się raczej na festiwal teatru jednego aktora. Za tekst monodramu otrzymał **I. Iredyński** jedyną nagrodę autorską festiwalu. Tym samym jury poza monodramem nie wyróżniło żadnej z przedstawionych sztuk. Nie śmiem polemizować z wysokim sądem, ale czy taki werdykt nie podkreśla również wyboistej drogi, jaką przebywać musi dramat współczesny na scenę?

Najwyższe nagrody aktorskie otrzymali: **Zofia Kucówna** za „Marię", **Igor Przegrodzki** za rolę Ignacego w „Ślubie" i **Mieczysław Voit** za Barona w „Garbusie". Przyjemnie, że w tym gronie znalazł się aktor łódzki. Natomiast mniej satysfakcjonuje, że korespondent **„Odgłosów"** był na festiwalu wrocławskim jedynym przedstawicielem prasy łódzkiej. Ta wstrzemięźliwość nie świadczy dobrze o docenianiu u nas sprawy tak ważnej w skali kraju i nie tylko kraju. We Wrocławiu bawiło dwunastu tłumaczy dramatu polskiego z Bułgarii, Czechosłowacji, Danii, Jugosławii, NRD, RFN, Węgier, Włoch i Związku Radzieckiego.

Tłumacz wielu sztuk polskich **Jaroslav Simonides** (CSRS) powiedział na wspomnianej wyżej sesji, że polski dramat współczesny reprezentuje wysoki poziom światowy i że dla niego (J. Simonidesa) pobyt we Wrocławiu jest prawdziwym świętem.

Może więc nie jest tak źle z tą naszą dramaturgią? Tylko, że „cudze chwalicie, swego nie znacie...".

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

EGZAMIN Z ETYKI

Dwanaście lat temu powstała sztuka **Jana Pawła Gawlika „Egzamin",** którą teraz **Teatr Nowy** prezentuje łódzkiej publiczności. Nasuwa się pytanie, czy ta współczesna sztuka przez dwanaście lat nie uległa spatynowaniu? Autor pisze w programie, że **„Egzamin" „powstał z fascynacji powtarzalnością pytań i sytuacji, na jakie natrafia człowiek w swoim życiu".** Jest w tym stwierdzeniu wiele słuszności, zwłaszcza jeśli idzie o te pytania i te sytuacje, które działają w sferze problemów etycznych, uzyskując wymiar ponadczasowy i uniwersalny. Ale w odniesieniu do **„Egzaminu"** nasuwają się pewne wątpliwości. Uniwersalność i ponadczasowość stosować się może ostatecznie do problematyki sztuki **J. P. Gawlika,** do treści, które zostały „wybrane" przez reżysera **(Wojciech Pilarski),** ale nie do formy, nie do sposobu konstrukcji **„Egzaminu".** Był on bowiem od „urodzenia" ułomny i takim pozostał po dziś dzień.

Kiedy już ujawniła się ta podstawowa konstatacja można przejść do ocen bardziej związanych z interpretacją teatralną. Otóż **Wojciech Pilarski** dostrzegł w **J. P. Gawliku** przede wszystkim publicystę i dlatego zajął się problemem, zostawiając sztukę z jej ułomnościami na planie dalszym. Interesowały go podstawowe pytania, które **J. P. Gawlik** publicysta stawia w sferze rozważań akcjologicznych etyki marksistowskiej. W tej sferze etyka marksistowska stanowi, przezwyciężenie zarówno mieszczańskiego indywidualizmu, stawiającego jednostkę ponad społeczeństwo, jak i totalnego kolektywizmu, roztapiającego indywidualność ludzką w „masie społecznej" podporządkowującego programowo jednostkę społeczeństwu, nie liczącego się z dorobkiem jednostki. Ten problem w postaci szczególnej występuje w warunkach budownictwa socjalistycznego i znaleźć tu musi rozwiązanie również szczególne". Oczywiście takiego rozwiązania **„Egzamin"** nie przynosi bo przynieść nie może, ale dotyka spraw i problemów pozostających w sferze etycznej.

J. P. Gawlik pokazuje wycinkowo jeden wybrany problem, być może nawet realnie istniejący, ale nie w tym rzecz. Istotą bowiem jest dla niego nie ilość poruszonych problemów, czy ich fragmentaryczność, ale oddźwięk społeczny, dalsze pytania moralne oceny sytuacji, które ogląda się na scenie. A więc publicystyka. **J. P. Gawlik** przecież nie pozwolił na przeżycie estetyczne, udramatyzował tylko pytania. Reżyser zaś „pokazując publicystykę" kazał aktorowi przekazywać postawy, swój stosunek i stosunek postaci do świata kreowanego. Więc aktorzy dyskutują, są wtopieni w sytuacje, komponowane na zasadzie psychodramy, starają się rozstrzygać dylematy i rozładowywać napięcia, jakie istnieją między prawdą i półprawdą. Wskazują na możliwości przezwyciężenia tej moralności, przeciwko której występuje marksizm w imię naczelnej zasady, że **„człowiek jest najwyższą istotą dla człowieka",** a więc nakazem stało się obalenie **„wszelkich stosunków, w których człowiek jest istotą poniżoną, ujarzmioną, opuszczoną i godną pogardy".**

I chyba tylko taka postawa, w imię ideałów humanizmu może zwyciężyć w tej teatralnej dyskusji, która pokazuje tylko jeden niewielki, marginalny problem zuniwersalizowania go, nadając mu kształt sceniczny, aczkolwiek sztuka **J. P. Gawlika** nie nadawała się do tego. Nie ma w niej teatru, jest sama publicystyka.

Jan Paweł Gawlik „Egzamin", sztuka w 3 aktach, reżyseria: Wojciech Pilarski, scenografia: Zenobiusz Strzelecki, premiera na scenie Teatru Nowego 30.V. 1976 roku.

U PRZYJACIÓŁ

ZSRR

■ Jak stwierdza „Literaturnaja Gazieta" w ostatnich latach bardzo ważnym czynnikiem stała się w zakresie edycji literatury pięknej, bliska współpraca radzieckich wydawnictw z organizacjami pisarzy. Na wspólnych naradach i roboczych seminariach omawiane są aktualne problemy rozwoju literatury i ruchu wydawniczego. Np. na ostatnim posiedzeniu zarządów Państwowego Komitetu d/s Wydawnictw i Związku Pisarzy ZSRR dokonano podsumowania osiągnięć ruchu wydawniczego w zakresie literatury pięknej w ubiegłym pięcioleciu.

Ogółem w latach 1971-75 ukazało się w ZSRR 38.111 tytułów książek o łącznym — rekordowym — nakładzie ponad 3 miliardy egzemplarzy! W okresie tym podjęto i w znacznej mierze zrealizowano szereg ważnych przedsięwzięć edytorskich. M.in. zapoczątkowano międzypaństwową serię „Biblioteka zwycięstwa", kontynuowano serię „Biblioteka literatury krajów socjalistycznych" oraz „Bibliotekę literatury światowej", której łączny nakład osiągnął ponad 50 milionów egzemplarzy. W ubiegłym pięcioleciu radzieckie wydawnictwa opublikowały ogółem 218 pozycji z zakresu dzieł wybranych, w tym 187 — to utwory pisarzy obcych. W bieżącej pięciolatce liczby te znacznie wzrosną. W latach 1971-75 nastąpił poważny wzrost zarówno wielkości pierwszych wydań — o 35 proc., jak również wznowień — o 27 proc.

Mimo tego imponującego dorobku wydawców radzieckich — jak stwierdzono na wspólnym posiedzeniu Państwowego Komitetu d/s Wydawnictw i ZP ZSRR — wciąż jeszcze nie w pełni zaspokajane jest ogromne i wciąż wzrastające zapotrzebowanie czytelników na literaturę piękną. Stąd postulat skierowany do zainteresowanych instytucji i organizacji o dalsze, intensywne nasycanie rynku księgarskiego, o wzrost nakładów książek, o nowe tytuły.

■ Dobiegły końca uroczystości 200-lecia Teatru Wielkiego w Moskwie. W tym czasie ukazało się wiele artykułów o słynnej placówce i wspomnień z nią związanych. Oto co mówi Halina Ułanowa jedna z najsłynniejszych tancerek świata. (Szczytowy okres jej niezwykłej kariery artystycznej związany był z Teatrem Wielkim; od piętnastu lat Ułanowa kształci nowe kadry tancerzy) — W każdym człowieku, nawet luźno związanym ze sztuką, Teatr Wielki niezmiennie budzi uczucie dumy, zachwytu i uwielbienia. „Bolszoj" — to centrum najwyższej wartości naszej kultury muzycznej choreograficznej i wokalnej. Teatr nasz powstały przed dwoma wiekami, zrodził się z potrzeby i gorącego pragnienia postępowej społeczności zebrania z okruszyn, ocalenia i rozwinięcia rosyjskiej kultury narodowej Od tamtych odległych lat po dzień dzisiejszy Teatr Wielki z honorem wypełnia swą szczytną misję. Złożone były dzieje teatru do czasów rewolucji. Wielcy mistrzowie sceny walczyli o demokratyczny, narodowy repertuar. Z trudem, ale uparcie, torowali sobie drogę na scenę Glinka, Czajkowski, Rimskij-Korsakow, Musorgski, Borodin.

Dopiero rewolucja otworzyła przed teatrem nieograniczone perspektywy. Począwszy od „Czerwonego maku" Gliera (dwieście przedstawień przez dwa sezony) przez „Jezioro Łabędzie" i „Iwana Susanina" do dzieł twórców radzieckich: Asafiewa, Prokofiewa, Chaczaturiana, Szostakowicza, Kabalewskiego...

Ogromna jest rola Teatru Wielkiego w rozwijaniu przyjacielskich kontaktów kulturalnych z zagranicą. Teatr jest ambasadorem sztuki radzieckiej na świecie, artyści radzieccy z tego teatru zapisali się złotymi zgłoskami w dziejach sztuki radzieckiej i światowej.

„Teatr Wielki — mówi Halina Ułanowa — liczy sobie lat dwieście, ale jego sztuka jest wciąż młoda i niezmiennie piękna".

■ Jak od wielu lat 6 czerwca, dzień urodzin Aleksandra Puszkina, obchodzono w Kraju Rad jako wszechzwiązkowe święto poezji. W miastach i wsiach całego Związku Radzieckiego rozbrzmiewały w tym dniu wiersze wielkiego poety. W 177 rocznicę urodzin autora „Eugeniusza Oniegina" w Bernowie koło Moskwy otwarto muzeum pamiątek. Zgodnie z tradycją centralne uroczystości święta poezji odbyły się w Puszkińskich Gorach koło Pskowa, gdzie znajduje się grób poety. Wzięli w nich udział pisarze i literaturoznawcy z całego związku Radzieckiego i wielu krajów świata.

EMOCJE A CHOROBY

• ZAWAŁ
• ARTRETYZM
• WRZODY ŻOŁĄDKA

Uczeni informują o wykrywaniu wciąż nowych zależności między myślami i emocjami z jednej strony i chorobami z drugiej.

Amerykański psychiatra, William Green, w latach 60-tych badał historię życia trzech par bliźniaków. Trzech bliźniaków — po jednym z każdej pary — zachorowało na leukemię. Uczonemu udało się ustalić, iż przed zapadnięciem na leukemię przeżyli oni silne wstrząsy nerwowe. Pozostali bliźniacy takich wstrząsów nie doznali. Uczony doszedł do wniosku, że uraz psychiczny może być „wyraźnym czynnikiem" w rozwoju raka, w dodatku czynnikiem nawet silniejszym, niż genetyczna predyspozycja.

Jednakże na wszystkie fakty istnienia związku między psychiką i chorobami brak charakterystycznych danych, które by dokładnie wskazywały, w jaki sposób — z punktu widzenia fizjologii — powstają takie choroby. Inny uczony mówi: „Nie brakuje nam danych kojarzących choroby z czynnikami psychicznymi, lecz brakuje nam wiedzy o pośrednich mechanizmach tych chorób". Ponadto, biorąc pod uwagę niezwykle złożony charakter związku między „psychiką i ciałem" należy sądzić, iż minie z pewnością wiele lat, nim uczeni wykryją ich fizjologiczne współdziałanie.

Dwaj uczeni amerykańscy, T. Holmes i R. Reich, doszli do wniosku — czytamy w „Scientist News" — że odczucia stresowe na przestrzeni określonego okresu życia człowieka mogą być użyteczne w prognozowaniu jego podatności na różne choroby. Opracowali oni kontrolny 43-punktowy wykaz sytuacji stresowych, przy pomocy którego można brać pod uwagę prawdopodobieństwo zapadnięcia na określoną chorobę.

Uzyskano oczywiste dowody na istnienie związku między indywidualnymi cechami człowieka i jego podatnością na specyficzne choroby. Dwóch kardiologów z San Francisco, M. Friedman i R. Rosenman, przez 15 lat śledziło zależności między charakterem człowieka i prawdopodobieństwem zawału serca. Ustalili oni, że ludzie niecierpliwi, agresywni, skłonni do podejmowania walki konkurencyjnej (typ A) o wiele częściej padają ofiarami zawału, niż ludzie z charakterem miękkim i spokojni (typ B). Stałe napięcie — utrzymują obaj lekarze — nieustanna walka człowieka z czasem, prowadzą tak często do przedwczesnej śmierci z powodu chorób naczyńwieńcowych.

Jednakże część uczonych uważa, że brak dostatecznie pewnych danych, by uważać stresy za przyczynę zawału serca. Świadczyłyby o tym szeroko zakrojone i długtrwałe badania uczonych z amerykańskiego Instytutu Kardiologicznego, podjęte wespół z szeregiem innych ośrodków badawczych chorób serca w tym również z uniwersytetem w Bostonie. Stwierdzono iż pierwszym czynnikiem zawału serca jest nadciśnienie krwi, następnym z kolei nadmierna zawartość we krwi substancji tłuszczowych i cholesterolu i wreszcie trzecim — palenie tytoniu.

Raczej — mówią badacze — winowajcą tej choroby jest mało ruchliwy tryb życia, który powoduje więdnięcie wszystkich mięśni i dlatego słuszniej jest przypuszczać, że człowiek z niewytrenowanym ciałem — to także człowiek ze słabym sercem. Jego pompa sercowa łatwiej poddaje się arytmii niż silne serce. Taki logiczny wywód jest trudniejszy jeśli chodzi o oddziaływanie stresów. Być może wywiera on pośredni wpływ na zawał, bowiem stresom ulegają przede wszystkim namiętni palacze.

W każdym razie, szeroko rozpowszechnione wśród ludzi mniemanie, że ludzie gwałtowni, i narażeni z tego powodu na intensywne przeżycia, częściej chorują na zawał niż ludzie prowadzący spokojny tryb życia, nie znalazło w tych badaniach naukowego potwierdzenia. Także genetyczna predyspozycja do zawału serca nie jest jeszcze wyjaśniona.

Podobnie jak w innych dziedzinach medycyny — czytamy w „Die Zeit" — nie wyjaśniono do końca związków przyczynowo-skutkowych, tak samo i w kardiologii pojawiają się „specjaliści", którzy uważają wiele zjawisk za „udowodnione", chociaż ani jeden uczony ich nie udowodnił. Jasne jest jedno: zawał serca jest dziś jedną z najbardziej rozpowszechnionych przyczyn śmierci, częstokroć przedwczesnej. Czy zawał niegdyś zdarzał się rzadziej, czy też nie był po prostu rozpoznawany — trudno powiedzieć.

Niektóre indywidualne cechy osobowości wiążą się z chorobami rakowymi — twierdzą uczeni. Prawie 30 lat uczona z uniwersytetu amerykańskiego obserwowała i studiowała historię życia „własnych" studentów medycyny, którzy kończyli następnie studia, dorośleli, zakładali rodziny, pracowali samodzielnie. Na podstawie obserwacji doszła ona do wniosku, że na choroby rakowe zapadali częściej ci spośród nich, którzy mieli opóźnioną reakcję i rzadko ulegali wzmożonym emocjom. Zależność między indywidualnymi cechami człowieka i atakami serca oraz zachorowaniami na raka potwierdzają także inni uczeni z Psychiatrycznego Instytutu we wschodniej Pensylwanii.

Związki „przyczynowe" ustalono także między indywidualnymi cechami człowieka i artretyzmem, astmą, wrzodem żołądka i niektórymi innymi chorobami. Na przykład czterech chorych na artretyzm spośród pięciu stanowią kobiety. Dla wielu z nich jest charakterystyczna niezaspokojona ambicja, co wiąże się z poczuciem niższości, którego doświadczają od dziecka. Reumatyzm zaczyna się często po szczególnie ciężkich przeżyciach duchowych.

Obecnie zgromadzono już niektóre dane pozwalające na wyciąganięcie wniosków, w jaki właściwie sposób myśli i emocje mogą wywoływać taką lub inną chorobę. Stwierdzono, że, ogólnie rzecz ujmując, emocje oddziałują na hormony gruczołu nadnercza. Także inne gruczoły „ulegają wpływowi" psychicznych stresów. Zupełnie możliwe — mówią uczeni — że myśli i emocje wywołują choroby, oddziałując na wegetatywny system nerwowy i hormony.

Stwierdzono fizjologiczne związki między psychiką i specyficznymi chorobami somatycznymi. Jak uważa psycholog z uniwersytetu Rockefellera, N. Miller, „istnieje dziś dostateczna ilość klinicznych dowodów na to, iż ludzie znajdujący się w warunkach stresowych, na przykład w sytuacjach działań bojowych, częściej zapadają na choroby żołądka. Potwierdzają to dane eksperymentalne. Zwierzęta poddawane napięciom stresowym zapadają na podobne choroby". Myszy, stale niepokojone, chorują na raka, inne — pozostawione w spokoju — na tę chorobę nie zapadają.

Niemniej wiele jeszcze pytań czeka na odpowiedź.

Naturalnie trzeba brać pod uwagę również inne czynniki, poza cechami indywidualnymi, więc takie jak wiek, waga, płeć, genetyczne predyspozycje, złe warunki środowiskowe i inne.

Co jest „mechanizmem spustowym" w przeróżnych chorobach: ilość niespokojnych myśli i emocji, czy ich materia, rodzaj? Innymi słowy, czy rzeczywiście „złe" myśli, emocje i wydarzenia szybciej prowadzą do chorób, niż „dobre"? Ponieważ nie ma na to jednoznacznych dowodów, uczeni różnią się w opiniach. I tak np. wybitny specjalista w dziedzinie badań stresowych, H. Selić, daje na to pytanie odpowiedzi sprzeczne. W jednym miejscu pisze: „Przekonaliśmy się, że charakter stresu — przyjemny czy nieprzyjemny — nie ma znaczenia, efektywność jego oddziaływania zależy tylko od systemu przystosowawczego organizmu". Jednakże w innym miejscu twierdzi: „Napięcie umysłowe, rozczarowania, uczucie niebezpieczeństwa i bezcelowości życia należą do rzędu najbardziej rujnujących stresów. Psychosomatyczne badania wskazują, że jakże często wywołują one migreny, choroby wrzodowe, zawały, nadciśnienia krwi".

Złożoność tego problemu, a stąd i trudność udowodnienia że stan psychiczny może być przyczyną schorzeń somatycznych, sprowadza się głównie do tego, że uczeni mają mgliste pojęcie o tym, jak powstają myśli i emocje w mózgu. I chociaż różne rodzaje czynności ciała zbadano lepiej, ich zależność od mózgu badana jest powierzchownie.

Dysponujemy o wiele bardziej doskonałą techniką niż kiedyś, ale ten problem stojący przed nauką, jest niesłychanie złożony i wymaga rewolucyjnych innowacji w strategii badań.

JERZY CZECH

■ Z PRZESZŁOŚCI WNIOSKI NA PRZYSZŁOŚĆ
■ POWRÓT DO AKTYWNOŚCI

Znowu bieg wydarzeń wyprzedzi czas druku „Odgłosów". Zanim bowiem ten numer naszego tygodnika dotrze do rąk Czytelników — **znane już będą dokumenty, podpisane w czasie wizyty Edwarda Gierka w Republice Federalnej Niemiec**, podczas gdy my przygotowujemy komentarz przed jej zakończeniem. Dlatego zwróćmy uwagę tylko na niektóre aspekty wizyty.

Jej cele sprowadzały się do dwóch zadań: wniesienia wkładu do ogólnoeuropejskiej sprawy realizacji Aktu Końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie oraz zakończenia budowy podstaw normalizacji i nakreślenia szerokiej płaszczyzny rozwoju stosunków i współpracy między Polską i RFN.

Historia stosunków między Polakami i Niemcami — co przypomniał w jednym z przemówień podczas wizyty I sekretarz KC PZPR — **jest długa i skomplikowana.** Wiele w niej było ciemnych kart, a bolesne doświadczenia lat II wojny światowej są jeszcze świeże w pamięci naszego narodu. **Ale myślimy nie tylko o czasie minionym, lecz również o przyszłości.** Chcemy żyć w pokoju i mieć pewność, że nie zostanie on zburzony.

W przemówieniu, witającym polskiego gościa, kanclerz Helmut Schmidt nawiązał do obu okresów: przeszłego i przyszłego. Podkreślił, że cierpienia i ofiary niezliczonej liczby Polaków spowodowane zostały przez Niemców i ci nie mogą umywać rąk, wskazywać na pojedynczych przestępców i przechodzić nad tym do historycznego porządku dziennego. „Nie ma tu miejsca na zapomnienie" — zaakcentował. Równocześnie przed narodami i rządami stoi zadanie współdziałania w realizacji postanowień z Helsinek, wszyscy jej uczestnicy ponoszą bowiem odpowiedzialność za pokój w Europie. To są nadrzędne cele, którym służyć będzie także rozwój stosunków między RFN i Polską.

W tych słowach — powiedział w odpowiedzi Edward Gierek — **„odczytujemy dobre intencje i szczerą wolę uczciwego spojrzenia na przeszłość i przyszłość".**

Z przeszłości, tak często tragicznej, dziś najważniejszym wnioskiem będzie **zapoczątkowanie nowej jakościowo fazy stosunków, znaczących się konstruktywną i wzajemnie korzystną współpracą.** Odmienności ustrojowe nie są tu przeszkodą. Polska, jako państwo socjalistyczne, szczególną wagę przykłada do swych przyjacielskich stosunków z ZSRR, NRD, CSRS i innymi krajami wspólnoty. Nie zamyka jednakże drogi do zaufania i współpracy z krajami o odmiennych ustrojach. Są tego liczne przykłady. Mogą i powinny być one rozszerzone o dalsze, a w tej liczbie o przykład współdziałania z RFN. Taki jest rozległy kontekst rozmów Edwarda Gierka w Republice Federalnej Niemiec.

Wizyta znajduje szeroki oddźwięk w prasie światowej. W krajach socjalistycznych i niesocjalistycznych podkreśla się jej znaczenie dla europejskiego pokoju i odprężenia w świecie. Wspólne oświadczenie, 5-letnie porozumienie gospodarcze, umowa kulturalna i inne porozumienia, liczne kontrakty zawarte w ostatnich dniach — ten bezpośredni plon wizyty Edwarda Gierka w RFN — ocenia się powszechnie jako **wielki krok naprzód w stosunkach dwustronnych, które decydująco ważą na klimacie politycznym Europy.** Tak materializują się helsińskie porozumienia, które, co właśnie wykazuje przykład Polski i RFN, nie były jakimś jednorazowym aktem. Najlepszy to argument przeciw różnym kołom politycznym, próbującym pomniejszyć znaczenie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

Prasa wydobywa również **pozycję Polski jako ważnego partnera handlowego rozwiniętych krajów kapitalistycznych z uznaniem wyrażając się o naszych osiągnięciach gospodarczych.** Dynamika rozwojowa Polski kieruje w naszą stronę uwagę najpoważniejszych firm. W W. Brytanii na przykład podpisane teraz porozumienia i kontrakty polsko-zachodnioniemieckie uznano za sygnał do aktywizacji współpracy gospodarczej z Polską.

Poświęciliśmy dziś gros miejsca wydarzeniu, którego znaczenie oceniać trzeba w kategoriach historycznych.

Z innych odnotujmy **wizytę premiera rządu indyjskiego — Indiry Gandhi w Moskwie.** Wspólny komunikat po rozmowach zapowiada dalszy wielopłaszczyznowy rozwój stosunków radziecko-indyjskich.

Jak wiemy, Indie odgrywają wielką rolę w tzw. trzecim świecie i na kontynencie azjatyckim. Ich konsekwentnie pokojowa polityka ceniona jest w świecie i wpływa na odprężanie stosunków międzynarodowych. Ostatnio, o czym pisaliśmy na tym miejscu, rząd Indiry Gandhi podjął nowe działania, zmierzające do poprawy swych stosunków z sąsiadami. Komentatorzy uznali to za powrót Indii — po pewnej przerwie — do aktywnej polityki zagranicznej.

W. SŁAWSKI

POWIEŚĆ W ODCINKACH (I)

Rozpoczynamy druk obszernych fragmentów nowej powieści Ryszarda Binkowskiego. „Białe światło" jest powieścią psychologiczno-sensacyjną, w której autor pokazuje ogrom nieszczęść, zwyrodnienia i upadku moralnego, jaki przynosi ze sobą alkoholizm.

„Białe światło" Ryszarda Binkowskiego stanowi w zamierzeniach redakcji literacki prolog dla publikacji poświęconych temu społecznemu niebezpieczeństwu. Do tematyki tej będziemy powracali w naszych publikacjach.

Pełny tekst powieści „Białe światło" Ryszarda Binkowskiego ukaże się niebawem nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

RYSZARD BINKOWSKI

BIAŁE ŚWIATŁO

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Mężczyznę niepokoi cisza. Czeka na czyjeś przyjście. Wypił dziś tylko dwa piwa, jego białe, żylaste dłonie drżą lekko, na wyłaniającym się spod mankieta przegubie lewej ręki widać świeże blizny.

W ostateczności, myśli, może przyjść dozorca Guzenda. Stary człowiek ze sczerniałą twarzą i rudym, przepalonym nikotyną wąsem. Guzenda przyszedł ze wsi i wrósł w betonowy pejzaż miasta. W łazience pędzi bimber. Jego żona, kobieta z obrzękłą twarzą i grubymi jak słupy nogami, ma złote serce. Wystarczy wyjąć coś z szafy, zjechać na parter i sprawa załatwiona. Guzenda nic by nie wziął, skoro jednak tyle wyciągnęło się na kredyt, nie wypada wchodzić do ich mieszkania z pustymi rękami.

Pewnego razu, mrużąc zaczerwienione oczy, dozorca wystękał:

— Zabrałem lalkę i niedźwiadka. Po cholerę miały się na oczy nawijać?

— Dobrze pan zrobił.

Poprzedniego dnia czołgał się po schodach. W przedpokoju upadł twarzą na lalkę. Coś w niej chrupnęło. W nim również. Butelka wypadła z kieszeni. Zlizywał z podłogi resztki wódki i płakał nad tą plastykową kukłą...

Mężczyzna podchodzi do wersalki. Pochyla się i wyciąga zza tylnej ścianki dwie butelki. Waży je w rękach. Jedną odstawia, z otworu drugiej wyciąga zbity w rulonik papier. Czuje ostry zapach bimbru. Przełyka ślinę, zbliża wylot szyjki do ust. Otrząsa się. Nagłym ruchem zakorkowuje butelkę i wstawia obie za wersalkę. Powinien czekać. Musi być trzeźwy, jeszcze czas.

Razi go nadmiar światła. Dotyka wyłącznika. Zbliża się do okna, szarpie zasłony. Nieruchomieje, mnąc w palcach brzeg lnianej, zadrukowanej fellachami i wielbłądami tkaniny. Wszędzie pozostały ślady kobiety... Nie powinien jednak odgradzać się od ludzi płachtą lnu! Gwałtownie targa zasłonę i patrzy w dół, na asfaltowe dno ulicy Wyspiańskiego. Płoną zielonkawe ślepia lamp. Jeszcze zieleńsze są drzwi pijalni piwa na rogu ulicy Reymonta. Wieczorami wytaczał się stamtąd z bełtem w głowie, żebrząc o pomoc w podprowadzeniu do klatki schodowej.

Wspiera czoło o chłodną szybę. Spogląda w jedno z okien wieżowca po przeciwległej stronie ulicy. Na tle jasnego prostokąta wirują za firankami cienie mężczyzny i kobiety. Rozbiegają się, tańczą, łączą z sobą...

Przymyka oczy. Biegnie wspomnieniem tam, do tych nudnych, smutnych bezbrzeżnie nocy. Pustka i czcza jałowość w myślach... Pijalnia piwa albo knajpa wyrzucały go w uliczny półmrok. Włóczył się beznadziejnie pośród śpiącego miasta, pukał z lękiem do drzwi, których nikt nie otwierał. Pragnął wówczas znaleźć inny dom na obcej, dobrej ulicy. Chciał wrócić do tych łąk, gdzie skakał zielony konik polny, gdzie spod nóg strzelała szaropióra kuropatwa. Chciał uciec od zapłakanych oczu, ale zamknięto wszystkie drzwi.

Wracał. Tak jak dziś. Starał się odkręcić film życia, aby w którymś miejscu znaleźć źródło. Jaki był ojciec? Fajny gość, ale cholerny nerwus. Podczas wojny gniotła ich bieda. Ojciec sam reperował buty. Wyjmował tkwiące w kawałku mydła drewniane szpilki i wbijał je w podeszwy. Szpilki łamały się, ojciec klął szpetnie, a gdy przytrzasnął sobie palec, rzucał kapciem w garnki na piecu lub walił młotkiem w okno. Matko święta, jak on wówczas kurwował!

Chłopca zdumiewało zachowanie ojca. Widział, jak wódka przemieniała mężczyzn w szalonych impetyków, ale ojciec tak naprawdę upijał się tylko raz do roku — w dniu swoich imienin. Fundował sąsiadom, całował się z nimi, śpiewał przedwojenne żołnierskie piosenki. Potem błądził po sadach, rowach, miedzach. Wtaczał się utytłany do izby i walił w ubraniu na łóżko. Leżał z wykrzywioną twarzą. Chwytały go drgawki. Charczał, wierzgał, a kiedy zasnął, starsza córka, Julka, zdejmowała mu buty. Chłopiec pomagał matce w ściąganiu ubrania.

Nazajutrz ojciec nic nie jadł.

Przyszła wreszcie owa pamiętna zima. Przez wieś przejechały radzieckie czołgi. Włosy śmierdziały naftą, którą matka tępiła wszy, dłonie były czerwone od swędzącego świerzbu. Grypa położyła wszystkich do łóżek i wtedy Marcinek doznał po raz pierwszy tego lekkiego, przyjemnego oszołomienia. Ojciec polecił matce przyrządzić trochę bimbru ze słodkim ulepkiem, który otrzymywało się z wydrążonego czerwonego buraka, pieczonego na blasze.

Chłopiec wypił. Leżał w pościeli i żeglował przez toń niebieską. Rozgarniał dłońmi pierzaste obłoki, łagodnie osuwał się w ciepły mrok. Był to kołysany alkoholem sen, w którym przychodziły bajki. Chłopiec widział ognistego smoka, stapiającego oddechem szczyt szklanej góry. Dotykał śliskiego łebka zielonej żabki, która natychmiast jawiła się złotowłosą księżniczką, a Czerwony Kapturek podawał jej z koszyka rumiane jabłka...

Lecz tamten sen nie mógł wynieść go na brzeg samotnej nocy. Ani też zapalony na świecznikach kasztanów maj, gdy zboża stały w wysokich piórach i zapach bzów wisiał w pobłękitnianym powietrzu.

Zabliźniały się ślady wojny.

Pługi wyrzucały z ziemi pordzewiałe hełmy i łuski pocisków, pęczniało ziarno w kłosach i ptaki wiły gniazda. Do szkół biegły dzieci, kobiety sposobiły się do porodów, a niesyte miłości dziewczyny oddawały się chłopcom. Schły w słońcu krokwie wznoszonych domów, w dzieżach rósł chleb.

Ludzie we wsi żyli w pojednaniu. Zbierali się w podwórkach, pod sadami, śpiewali, pili bimber.

Nie obchodziło go wówczas życie dorosłych ani ich zachowanie przy wódce. Od wiosny u sąsiadów Lipiaków zawieszono między dwiema wiśniami poniemiecki hamak. Marcinek leżał w nim godzinami, kołysząc się lekko, i patrzył poprzez korony drzew na przepływ zmieniających kształty obłoków.

Czasem zasiadał z dorosłymi przy stole. Byli bardzo serdeczni i spełniali każde życzenia, podsuwając mu do ust świecący białymi okami słoniny plaster kaszanki, samopłynące do gardła maślaki z octu, pomidory z cebulką, słodkie śliwki, obsypany kruszonką placek. Po spożyciu tak obfitej mieszaniny bolał go brzuch i zbierało mu się na wymioty.

Pewnej niedzieli dorośli wypili kilka butelek wódki. Zmętniały im oczy i poczerwieniały twarze. Mówili głośno i szybko, niewyraźnie, śpiewali o ułanach, różach, partyzantach i jadącej od Krakowa furze. A kiedy śmiech, pocałunki, płacz i śpiew zlały się w jędrny bełkot, przysadzista, czarnooka Franka Lipiakówna rozparła się w krześle, rozstawiając szeroko nogi.

— Nie ma to, jak chłop na stałe! — powiedziała patrząc melancholijnie w pijane twarze gości.

— Popróbuj się z którym! — zaśmiał się ojciec Marcinka.

— Jak tak sobie popiję, to zaraz bym każdemu dała.

— Ty małpo bezwstydna! — podskoczył stary Lipiak. — Myślisz, że każdy by chciał!

— Jakbym miała ślubnego — oznajmiła Franka — co rusz bym się kładła i niech robi, co trza!

— Chi, chi, chi! — pisnęła jej siostra, chuda Alina. — Ale mocna w pysku!

— Pod zabawą morgę ziemi zdarła pazurami, a Kasperski to już tydzień chodzi z podrapaną gębą — powiedziała Lipiakowa.

Franka z rezygnacją zwiesiła głowę, czarne włosy rozsypały się na półmisku z kaszanką. Ocknęła się, gdy ktoś krzyknął, że nie wolno opuszczać kolejki.

— Chodź, Marcinek, do cioci — szepnęła.

Przygarnęła chłopca do siebie, posadziła na gorących, podrygujących udach. Głowa wpadła mu między obfite piersi, pachnące mlekiem i potem. Rozejrzał się wokół niepewnie, ale nikt nie zwracał nań uwagi.

— Na, Marcinek — Franka podsunęła mu kieliszek.

Chłopiec zerknął na ojca, ale ten był mocno zagadany z sąsiadem. Z lękiem, lecz niesłychanie dumny, że ta duża, ładna panna poczyna sobie z nim jak z dorosłym, wziął z jej ręki kieliszek i wypił do dna.

Fale ciepła błogą słabością rozpływały się po rękach i nogach. Rozweselony śpiewał głośno wraz z dorosłymi. Odważył się nawet zaśpiewać sam piosenkę zaczynającą się od słów: „Ja ci śrubkę wkręcę w dupkę, a ty się śmiejesz!" Dorośli klaskali pokładając się z uciechy. Franka podsunęła mu w nagrodę drugi kieliszek. A potem, żeby lepiej śpiewał, jeszcze jeden. Zrobiło mu się duszno i pociemniało w oczach. Żołądek fiksował, jakby chciał się przekręcić, toteż chłopak wybiegł z izby i dopadł roweru.

Tężał mrok. Chłopcu pląsały w oczach zamazane kontury domów, ludzi, drzew. Raptem przednie koło podskoczyło na wyboistej drodze. Kierownica obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni i Marcin grzmotnął kolanami na ostre kamienie.

Ze zdumieniem patrzył na cieknącą ze zdartej skóry krew. Nie czuł bólu. Poprowadził rower do rzeki, obmył rany i przyłożywszy na nie duże liście babki, oblepił mułem. Czekał w pachnącym zgniłą trawą chłodzie, aż krew zakrzepnie. Potem wstał, ale zatoczył się i wpadł do wody. Z niemałym wysiłkiem wypchnął rower na drogę. Odurzony alkoholem, pojechał do tego miejsca pośrodku wsi, gdzie nad krzakami bzu płonęły dwie naftowe lampy.

Kobiety usiłowały wdrapać się na wysoki parkan, aby u białych stóp Matki Boskiej postawić doniczki z z prymulkami.

Nieśmiałego i tchórzliwego chłopca, uciekającego przed starszymi kolegami, którzy grozili, iż mu wyciachają kozikami jajka, rozsadzała teraz odwaga i pewność siebie. Z ochotą, sprawnie wspiął się na parkan. Nie patrząc w dół, odebrał z rąk kobiet doniczki, które umieścił za kolorową barierką na szczycie kapliczki. Aby zejść, musiał znaleźć spojrzeniem miejsce dla stóp. Zakręciło mu się w głowie, wianek bab zawirował karuzelą. Z wrzaskiem zjechał po murku w krzaki bzu. Na pocieszenie przewodnicząca kółka różańcowego pozwoliła mu długo w noc pozostać przy kapliczce. Śpiewał głośno, zadowolony z siebie i niezupełnie świadom, że tych mężnych czynów dokonał dzięki trzem kieliszkom wódki, które wypił na kolanach Franki.

Nie zauważył, że powoli zacieśnia się krąg dorosłego życia. Przychodziło latem wraz z krewnymi z miasta i wódką. Pachniało perfumami, naftaliną w ubraniach, mieniło się pstrokatymi krawatami, glansowanymi butami, białymi i delikatniejszymi niż rodziców dłońmi.

Uciekał nad stawy. Ssąc przywiezione przez krewnych cukierki, aż do wieczora łowił ryby. Ciotki przywoziły też z miasta jakieś stare mięsiwo. Kotlety miały nieprzyjemny zapach i tak obrzydliwy smak, iż na sam ich widok chłopiec dostawał trzęsionki. Ukradkiem, aby nie oberwać frycówy, podchodził do płotu i wyrzucał swoją porcję do ogrodu sąsiada.

Był natomiast wdzięczny ciotkom za książki z ilustracjami, klocki, z których układał kolorowe domki i pałace, oraz za ołowianych żołnierzyków. Zaszywał się z nimi w kącie, gdzie prowadził wielogodzinne krwawe bitwy, nie słysząc wesołych śpiewów i słonych dowcipów, opowiadanych przez dorosłych.

Najbardziej lubił wujka Stefana, spokojnego mężczyznę, który często bawił się z nim w wojsko. Ale kiedy wuj za dużo wypił, dostawał, jak mawiała babka, siekra we łbie, czyli białej gorączki.

Marcin pamięta roziskrzoną słońcem i śniegiem zimową niedzielę. W izbie duszno i głośno, twarze spocone.

— Wybierałeś, przebierałeś i babę masz felerną! — powiedział wujek Stefan.

— Ty na mnie wchodzisz? — zapytał głupio wujek Józek.

— Innego z taką babą nie ma.

— Fachowiec jesteś! Ale ciebie nie weźmie żadna.

— Józiu, co to ma znaczyć? No?

— Nóżka twoja, Stefek, felernie krzywa...

— Aha! Ale nogą dzieci się nie robi.

Józek jakby nie zrozumiał przytyku. Śmiejąc się odsunął stojące za Stefanem krzesło. Stefan z triumfem siadł na podłodze uderzając potylicą w kredens. Skrzywił się, potrząsnął głową i podniósł się, pocierając obolałe miejsce.

— A wy łachudry! — wrzasnął znienacka. — To wy mnie tak, od tyłu?

Julka zaczęła piszczeć ze strachu. Nim kto zdołał uczynić krok, wujek Stefan zrzucił marynarkę, sweter, podarł na sobie koszulę. Z pianą w kącikach ust, tocząc wokół nieprzytomnym spojrzeniem, wycofywał się do drzwi. Uderzył w nie plecami i wypadł na podwórze. Ojciec z wujkiem Józkiem rzucili się w pościg.

Stefan, rozdzierając spodnie, przecisnął się pod ogrodzeniem z drutu kolczastego i pognał w pole. Ścigający przewracali się w kopnym śniegu, krzyczeli, gwizdali, zachodzili z boków, aż trzeba było przerwać gonitwę, ponieważ chory na serce wujek Józek zarył się w głębokiej zaspie nie dając znaku życia.

Tymczasem Stefan, odsadziwszy się o kilkaset metrów, ściągnął podarte spodnie, buty i w skarpetkach zaczął się ślizgać na zamarzniętej sadzawce.

Za stodołą ukazali się gapie. Rozbawieni widowiskiem, przerzucali się dowcipnymi uwagami.

— To te od Likszów robią takie polowanie? — spytał traktorzysta Marczak.

— Jakie polowanie! To istny cyrk!

— Będzie lepszy, jak temu gołemu dupa przymarznie do lodu.

— Eee, odrąbią siekierą...

— Chyba razem z tym interesem, co?

— Te miastowe ludzie to same siajbusy — powiedział spluwając Marczak.

Marcinowi zakręciły się łzy w oczach. Wstydził się za ojca i za tych pomylonych wujków. Unikając spojrzeń, wycofał się w stronę sadu. Ktoś dotknął jego ramienia.

— Nie przejmuj się tymi starymi wariatami — powiedział Garbus.

Był to trzydziestoletni mężczyzna o przedwcześnie posiwiałych włosach. Mieszkał samotnie pod Bukowcem. Ludzie we wsi mówili, że pędzi bimber. Zajmował się trochę stolarką.

— Pan też pije — powiedział odsuwając się Marcin.

— Nie zawsze.

— Żonę pan zamęczył — krzyknął Marcin.

Garbus spojrzał tak jakoś, że chłopcu zrobiło się przykro.

— Podobno po wakacjach idziesz do szkoły w mieście — powiedział cicho Garbus.

— Skąd pan wie? — spytał zaskoczony.

— Słyszałem, jak ojciec rozmawiał z kierownikiem. Ucz się, synu, może ci się uda! Wyjdziesz z tego bajzlu i będziesz człowiekiem. Ale z Paprochem się nie zadawaj, za bogaty dla ciebie. Ignac zaś za stary, a Łapka chuligan. Blondyn też nie lepszy...

— Pan wszystko wie! — zdziwił się Marcin.

— Eee, widziałem cię parę razy na wagarach za cmentarzem...

— Proszę pana! — Marcin zbliżył się do Garbusa. — Dlaczego ludzie nie chcą z panem gadać, co? Niech pan powie.

Garbus spojrzał w stronę rozwrzeszczanych gapiów.

— Bo jestem pijak. Parszywiec...

— Mnie też niewesoło — bąknął Marcin. — W domu zajmują się tylko Julką...

— Myślę, że ty nie za bardzo pasujesz do gospodarstwa. Zresztą, ile tego u was jest, piętnaście mórg? Nie warto dzielić. Julkę wydadzą za mąż, połączą gospodarki. Ojciec nie mówił ci o tym?

— Nie, tylko o szkole.

— Nauka ważniejsza niż gospodarka.

— Ludzie mówią, że pan mieszkał w mieście.

— Tak, ale wkrótce wybuchła wojna. — Pociągnął chłopca za rękaw. — Jak już będziesz się uczył, to wpadnij kiedy do mnie — powiedział.

Jak daleko, myśli Marcin Liksza, jak daleko do tamtego Marcinka... I tak blisko.

c.d.n.

CZŁOWIEK W KOSMOSIE

O wyprawach ludzi w Kosmos, najpierw w marzeniach, później w teoretycznych obliczeniach, a wreszcie w rzeczywistości traktuje książka Janusza Thora: „Człowiek poza Ziemią". Wychodzi on z założenia, że ludzkość ma wielkie skłonności do myślenia tradycyjnego, usankcjonowanego na dodatek naukowym błogosławieństwem. To myślenie przeszkadza w rozwoju ludzkości. Wiele śmiałych propozycji, przewidywań i poglądów musiało ustąpić przed tradycjonalizmem. Janusz Thor przypomina, że w końcu XVIII wieku Paryska Akademia Nauk oficjalnie zaprzeczyła jakoby spadające na Ziemię meteory były pochodzenia pozaziemskiego. „Spadające gwiazdy" uznano złudzeniami a ślady meteorów za minerały pochodzenia ziemskiego. Ale to było dawno. Natomiast na dwa miesiące przed wystrzeleniem pierwszego radzieckiego sputnika w poważnym czasopiśmie naukowym ukazał się artykuł, w którym autor dowodził niezbicie, że takowe wystrzelenie jest całkowicie niemożliwe.

Aby więc przełamywać tradycjonalizm w myśleniu, trzeba przede wszystkim wiele wiedzieć, trzeba wychodzić poza własną specjalność, starać się patrzeć na świat szeroko i stale szukać coraz to nowszych rozwiązań, nie zatrzymywać się w miejscu. Niestety, żargony poszczególnych specjalności utrudniają wzajemne porozumienie, a także utrudniają popularyzatorom przekazywanie tego, co dzieje się w tych specjalnościach. Tymi barierami tłumaczy Janusz Thor niewielkie zainteresowanie naukami ścisłymi i tym, co one mają do powiedzenia o współczesnym świecie. Myślę, że autor nie do końca ma rację. Książki dobrze napisane, popularyzujące naukę i jej osiągnięcia, a w tym i wyprawy człowieka w Kosmos znajdują chętnych nabywców i szybko znikają z półek księgarskich. A na tej drodze toruje im popularność literatura Science Fiction.

Janusz Thor — „Człowiek poza Ziemią", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1976, str. 243, cena zł 35,—

STAŁO SIĘ JUTRO

Na początku był Stanisław Lem. A teraz? Teraz jest już zupełnie inaczej. W 1962 roku **„Młody Technik"** ogłosił pierwszy konkurs na opowiadanie Science Fiction. Przysłano na ten konkurs 103 opowiadania. W 1973 roku tenże sam **„Młody Technik"** — a więc w przeszło 10 lat później ogłosił ponownie taki sam konkurs. I w przeszło 10 lat później przysłano 355 opowiadań.

Czy był to tylko rozwój ilościowy?

Nie tylko. Był to również rozwój jakościowy.

Na początku była fascynacja tym, że człowiek może oderwać się od Matki Ziemi i „poszybować" w przestrzeń kosmiczną. Wystarczy przypomnieć fakty: **4 października 1957 roku** pierwszy sztuczny satelita ZSRR, **12 marca 1961 roku** — Jurij Gagarin, pierwszy człowiek w Kosmosie, **20 lipca 1969 roku** — na Księżycu lądują amerykańscy kosmonauci... Później były sondy kosmiczne, które ukazały najbliższe nam planety w zupełnie innym świetle niż to sądzili najwięksi marzyciele i fantaści. Wyprawy kosmiczne okazały się bardziej skomplikowane niż to się pierwotnie wydawało. Rzeczywistość zmuszała pisarzy SF i tych wszystkich, którzy w tym gatunku próbowali swoich sił, do szukania innych terenów dla snucia fantastycznych wizji.

W tych przeszło 10 latach, jakie minęły między pierwszym a drugim konkursem **„Młodego Technika"**, skierowało zainteresowania piszących fantastyczno-naukowe opowiadania na zupełnie inne tereny. Okazało się, że również fascynująca i pełna nieoczekiwanych możliwości może być nasza stara Ziemia, szybko przechodząca cywilizacyjne przemiany. I to był główny kierunek przeobrażeń, jakie dokonały się w świadomości piszących na naukowo-fantastyczne tematy. Tę przemianę, choć wielu piszących nie zrezygnowało ze snucia fantastycznych wizji na temat Kosmosu, pokazuje publikacja **„Naszej Księgarni"** będąca rezultatem plonu obu konkursów **„Młodego Technika"**.

W zbiorze **„Wołanie na Mlecznej Drodze"** ukazały się opowiadania 17 autorów. Są to niezwykle interesujące opowiadania, ale jeszcze bardziej interesujący są ich autorzy. Nie sposób przedstawić ich wszystkich. Spróbujmy więc pokazać kilku najbardziej charakteryzujących współczesne tendencje w SF:

— **Andrzej Czechowski** — biochemik, absolwent Uniwersytetu im. M. Łomonosowa w Moskwie, pracownik naukowy UW, debiutował jako uczeń LO w Słupsku, zdobył pierwsze nagrody w obu konkursach „Młodego Technika";

— **Zbigniew Dworak** — fizyk i astronom, również absolwent Uniwersytetu im. M. Łomonosowa w Moskwie, pracownik naukowy Obserwatorium Astronomicznego w Krakowie;

— **Janusz Andrzej Zajdel** — fizyk zajmujący się problemami jądra atomowego, absolwent UW, pracownik Centralnego Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie, autor kilku zbiorów opowiadań SF i dwu powieści;

— **Sławomir Swerpel** — geograf, absolwent Uniwersytetu Gdańskiego, uczestnik ekspedycji na Spitsbergen;

— **Zbigniew Żak** — matematyk, absolwent WSP w Opolu, nauczyciel.

Ale niech to nie przeraża wszystkich chętnych do zajmowania się SF, gdyż wśród autorów zbioru „Wołanie na Mlecznej Drodze" jest też lekarz, geodeta, polonista, technik drogowo-mostowy, są nauczyciele i inżynierowie.

Współczesna Science Fiction — przynajmniej w naszym kraju, ale nie tylko — coraz częściej zwraca się do tematyki nam najbliższej, skierowując swoje zainteresowania na procesy dokonującej się w obrębie naszej cywilizacji, pokazując przyszłość pozytywną i negatywną tego, co dziś dzieje się na tym „najlepszym ze światów". Próbowanie swoich sił w SF wymaga więc nie tylko wiedzy, ale też i wrażliwości na ludzkie losy, wymaga umiejętności widzenia skutków tego, co w przyszłości może przynieść nasza teraźniejszość.

„Nasza Księgarnia" nie poprzestała tylko na sprezentowaniu czytelnikom wyboru najlepszych opowiadań z obu konkursów **„Młodego Technika"**. Rozpoczęła ona też publikację seryjną opowiadań SF w zbiorkach, bardzo ładnie wydawanych, a noszących wspólne hasło: **„Stało się jutro"**. Właśnie ostatnio ukazały się zbiory: piąty, szósty, siódmy, ósmy.

Zbiór piąty: „Klęska dyktatora" przynosi trzy opowiadania **Tadeusza Twarogowskiego; zbiór szósty: „Robot nr 3"** opowiadania **Janusza A. Zajdla, Janą Kopczewskiego, Marii Czudakowej, Andrzeja Czechowskiego i Adama Jaromina; zbiór siódmy: „Metoda doktora Quina"** — **Anatolija Dnieprowa i Janusza A. Zajdla; zbiór ósmy: „Podpalacze nieba"** opowiadania **Wiktora Zwiekiewicza.**

Seria ta — jak to widać już choćby z tego zestawienia — stanowi próbę zapoznania młodego czytelnika, dla którego jest przede wszystkim przeznaczona, z możliwie szerokim przeglądem rodzimej i nie tylko twórczości SF. Niektóre z tych opowiadań były już drukowane w **„Młodym Techniku"**, w kolejnych tomach **„Kroków w nieznane"** lub w wydaniach książkowych, inne ukazują się drukiem po raz pierwszy. Są to opowiadania bardzo różne, reprezentujące różny poziom literacki i tematyczny. Wszystkie jednak niewątpliwie zainteresują nie tylko młodych czytelników. A że tak jest dowodzi tego tempo, w jakim znikają z półek księgarskich.

Literatura SF ma jeden niezaprzeczalny walor, pobudza wyobraźnię, zmusza do sięgania po opracowania bardziej szczegółowe, rozbudza i kształtuje potrzebę głębszego poznania współczesnego nam świata. Jest też znakomitą rozgrywką. Wielu autorów, których opowiadania ukazały się bądź to w zbiorze **„Wołanie na Mlecznej Drodze"**, bądź w innych, przyznaje otwarcie, że ich zainteresowania fizyką, astrofizyką, biologią i w ogóle nauką zaczęły się od literatury SF a przede wszystkim od Stanisława Lema.

A więc na początku był Stanisław Lem...

L.W.

„Wołanie na Mlecznej Drodze", Nasza Księgarnia, Warszawa 1976, str. 192, cena zł 30,—

„Stało się jutro":

— zbiór piąty — „Klęska dyktatora", Nasza Księgarnia, Warszawa 1976, str. 68, cena zł 15,—

— zbór szósty — „Robot nr 3", Nasza Księgarnia, Warszawa 1976, str. 59, cena zł 11,—

— zbiór siódmy — „Metoda doktora Quina", Nasza Księgarnia, Warszawa 1976, str. 62, cena zł 10,—

— zbiór ósmy — „Podpalacze nieba", Nasza Księgarnia, Warszawa 1976, str. 72, cena zł 12,—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

FELIETON Z CYTATAMI

Żyjemy w czasach Autorytetu. Pogląd czy nawet tzw. stara prawda — sformułowany przez kogokolwiek może budzić wątpliwości, ale jeśli się ów Pogląd czy Prawdę odpowiednio podeprze jakimś Autorytetem, wówczas wszystko jest w porządku.

Na przykład, ileż nieprzemyślanych sądów można nieopatrznie wypowiedzieć na temat artystów. Powie ktoś, że artystą może być tylko człowiek pod jakimś względem zwyrodniały i od razu ileż protestów i ileż obrazy. A przecież można to powiedzieć inaczej, odwołać się do cytatu, do słów laureata Nagrody Nobla, czyli do Władysława St. Reymonta, który tak właśnie powiedział. I w porządku.

Któż się odważy kwestionować słowa Reymonta?

Może też komuś przyjść do głowy wygłoszenie przekonania, że artysta znajduje i penetruje chaos, że to jego wola i prawo. No cóż, pogląd jak pogląd, ale lepiej będzie podeprzeć go Autorytetem.

To przecież Stefan Żeromski tak pisał: „Jest tylko wola artysty, jego prawo. Esteci mogą sobie rozprawiać, ile im serce dyktuje, gdyż to, co się im podoba lub nie podoba w dziełach artystów, jest czymś zgoła innym niż rzeczywistość twórcza". („Róża")

I jeszcze napisał Żeromski, co może nie jest zupełnie à propos tego felietonu, ale zacytować warto: „Pochlebstwo, zda się, najbardziej nas będzie zawsze jednoczyło..."

Wróćmy jednak do artystów i poezji, bo oto tak pisał Stanisław Wyspiański: „Poezję uważają u was jako półprawdy, jako rzecz, w którą się nie wierzy, której się nie ufa, na której się nie polega. Poezja zaś jest artyzmem. Zaś artyzm ma swoją logikę i nieodwracalność i jest całą prawdą, jeśli jest". Dla ścisłości dodam, że słowa te pisał Wyspiański w roku 1903 w „Wyzwoleniu".

Zejdźmy jednak z artystów i przenieśmy się dla odmiany na koniec alfabetu. Weźmy się — przykładowo — za urzędników, jako że jest to profesja biegunowo różna od profesji artysty. I znów — ileż nieprzemyślanych, niesłusznych i krzywdzących sądów wypowiedziano na temat ludzi w metaforycznych zarękawkach.

U niektórych felietonistów urzędnik urasta do dzisiątej potęgi, staje się molochem, fantomem, a czasem i... Fantomasem. A urzędnik, cóż?

Pisał Jan Lemański na początku tego wieku:

„Urzędnika płacą
Posłuchajże na co:
Państwo to jest wóz,
Aby naród wiózł.
By w drodze nie ulec
Potrzebny hamulec:
Otóż to jest dział
Urzędniczych ciał".

A dużo, dużo wcześniej, bo w wieku XVI ojciec literatury polskiej, Mikołaj Rej z Nagłowic, wyrzekał w „Krótkiej rozprawie między panem, wójtem a plebanem" czyli w utworze, który dziś jest szkolną lekturą:

„Bo jedni są co się boją
Drudzy o urzędy stoją,
Jako tako pochlebuje
Gdy co kto smacznego czuje".

Tak więc przy pomocy Autorytetów literackich możemy przypomnieć stare prawdy (nieraz tak stare, że ich aktualność może być dyskusyjna) i wyrazić przekonania wyrażane nie raz i nie dwa na przestrzeni całej wielowiekowej historii polskiej literatury. Jest to — powie ktoś — mówienie cudzym głosem, ale to nieprawda. Nic bowiem nie jest tak odkrywcze, jak prawda już kiedyś wypowiedziana.

WIDOK

LEWYM OKIEM

CZY JESTEM GOTOWA?

Co roku wczesną wiosną, a zwłaszcza w okolicach Wielkiejnocy, rośnie gwałtownie liczba ślubów. Wszyscy młodzi ludzie chcą wtedy zawierać małżeństwa, właśnie wtedy. Urzędy stanu cywilnego pracują w tempie przyśpieszonym, co chwilę słyszymy te same pierwsze takty Mendelssohna, zakłady fotograficzne przekraczają górne pułapy obrotów, w kościołach nie milkną organy. Ta najwyższa coroczna fala już się przewaliła, ale wciąż, niezależnie od niej, mówi się dużo, a jeszcze więcej pisze, o szkołach dla narzeczonych, o kursach seksuologii, o wychowaniu do życia w rodzinie.

Pewna parafia w Łodzi sprawdza dojrzałość matrymonialną kandydatów, dając im broszurkę pt. „Pytania i pouczenia dla narzeczonych", zredagowaną w dwóch wersjach; dla niego i dla niej. Oto niektóre pytania z wersji damskiej:

— **Czy zobowiązuję się nie stosować środków antykoncepcyjnych i nie zgadzać się na stosowanie ich przez Męża, ale posługiwać się wyłącznie metodą okresowej wstrzemięźliwości?**

— **Czy zobowiązuję się bronić każdego poczętego przeze mnie życia i nigdy nie przerwać ciąży?**

To nie są oczywiście pytania ankietowe, one zawierają w sobie jedyną dopuszczalną odpowiedź, stanowią egzamin, przesądzający o dopuszczeniu do małżeństwa. Dziewczyna pewnie odpowiada tak jak trzeba i pewnie ani przez moment nie traktuje tego poważnie. I pewnie autorzy broszury doskonale o tym wiedzą. I wszyscy są nadal zadowoleni z siebie. W rzadkich wypadkach dosłownego przyjęcia sformułowanych jak wyżej zobowiązań zaczną się rodzić te nieszczęsne, niechciane, niedopieszczone i poniewierane dzieci, czasem upośledzone w wyniku alkoholizmu ojca lub szczególnych, niesionych przecież przez życie stresów i przeżyć matek. Część z nich zapełni na chwałę bożą domy dziecka, różne przytułki i zakłady. Najlepsza kobieta i najlepszy mężczyzna zaczną się wzajemnie nie znosić widząc w każdym zbliżeniu ryzyko dalszego powiększenia rodziny, zagęszczenia metrażu, podcięcia własnych szans życiowych. Tu się nie mówi o radości życia, o partnerstwie życiowym małżonków, o kulturze współżycia fizycznego. Nie mówi się też o równości męża i żony, wręcz przeciwnie, ich pozycje dzieli cała przepaść. Oto, nad czym ma się zastanowić narzeczona:

— **Czy jestem gotowa powierzyć się cała mojemu Mężowi i wdzięcznie przyjmować dar Jego ciała w duchu miłości i oddania?**

Jakiż to „dar ciała"? Czy to on zawsze daje, a ona jest obdarzana i powinna dziękować, — czy odwrotnie? Czy — oby jak najczęściej — obdarzają się wzajemnie, i to nie tylko w duchu?

— **Gdyby on kiedykolwiek przeciwko mnie zawinił, a nawet złamał małżeńską przysięgę, czy jestem zdecydowana nie związać się z kimś innym i zawsze oczekiwać powrotu Męża?**

Oto, cóż to za mowa! Żałuję, że nie widziałem wersji męskiej nauk parafialnego moralisty. Czy i Mąż też ma zawsze oczekiwać powrotu Żony? Jeśli tak, to zwracam honor, byłaby w tym jakaś sprawiedliwość, ale sprawiedliwość żądająca od ludzi anielstwa. Niebezpiecznie jest sięgać po zdradliwe przysłówki: zawsze, nigdy. Ta jedna sprawa, to małżeńskie nieodwołalne „zawsze" — czyli absolutna nierozerwalność małżeństwa — stała się przecież całkiem niedawno powodem poważnego kryzysu politycznego we Włoszech i spopularyzowała całe społeczeństwo na dwa obozy: wszystkie stronnictwa postępowe znalazły się po stronie zwolenników dopuszczalności rozwodów, wszyscy wstecznicy skupili się pod sztandarem „zawsze" i „nigdy". Tak się spolaryzuje i podzieli cały świat i nie ulega wątpliwości, który obóz zwycięży: ten mniej anielski, a bardziej ludzki.

— Czy wiesz, na co się decydujesz? — brzmi pierwsze pytanie broszurki, adresowane do dziewczyny. Pytanie groźne i pełne przestrogi: zastanów że się, co robisz! Źle ci to u mamusi? A dziewczyny jakoś nie dają się nastraszyć, podobnie jak chłopaki. Decydują się, stosują środki, obdarzają się wdzięcznie albo głupio, niestety — częściej głupio, bo uczyli się na takich „Pouczeniach i pytaniach dla narzeczonych".

Ale powoli jednak mądrzeją. Całe szczęście.

ĆWIEK

PROPOZYCJE

TUSZ I HONOR

W niedalekiej starożytności, kiedy do pisania używano inkaustu i gęsiego pióra, które następnie zastąpiono stalówką, powstało powiedzenie, że nic tak nie plami honoru kobiety, jak atrament. Było to powiedzenie bardzo ładne, trafne i prawdziwe. Ale czasy się zmieniły. Dziś mało kto używa atramentu i wiecznego pióra. Nawet Mieczysław Michał Szargan swoje fraszki pisuje... ołówkiem. W powszechnym użyciu natomiast jest pióro kulkowe popularnie znane pod nazwą długopisu. W użyciu są też maszyny do pisania. Gdyby więc dziś ktoś chciał ukuć podobne powiedzenie, to nie brzmiałoby ono tak ładnie jak stare. Bo czyż ładnie może brzmieć stwierdzenie, że nic tak nie plami czyjegokolwiek honoru, jak długopis czy maszyna do pisania. Ani w tym składu, ani ładu, ani sensu. A jednak plamy na honorze spowodowane pisaniem są nadal aktualne, z tym tylko, że nie odnoszą się już tylko do kobiet.

Kobieta i mężczyzna umiawiający się na tajemną schadzkę nie muszą używać do tego celu gęsiego pióra i atramentu, wystarczy im telefon, a w najgorszym przypadku można posłużyć się telegrafem. Nie takie więc pisanie narusza dziś czyjkolwiek honor. Prywatna korespondencja jest przecież otoczona tajemnicą. Honor narusza — przynajmniej w mniemaniu niektórych — korespondencja publiczna, bo i takowa dziś istnieje.

Oto Ewa Ostrowska (gospodyni domowa) doniosła w 14 numerze „Odgłosów" z 1 kwietnia 1976 roku w liście do redakcji, że **„zachodzi podejrzenie"**. Przytoczyła ona ogłoszenie, jakie pojawiło się w niektórych blokach na Bałutach administrowanych przez SM „Ogniwo". Ogłoszenie to zawierało między innymi następujące stwierdzenie:

„UWAGA! Administracja SM „Ogniwo" prosi mieszkańców o wzmożenie ostrożności przy posługiwaniu się urządzeniami gazowymi, gdyż zachodzi podejrzenie zmiany gazu świetlnego na gaz ziemny..."

Ogłoszenie SM „Ogniwo" nosiło datę **24 lutego 1976 roku. 1 kwietnia 1976 roku** — jak już wspomniałem — ukazał się w „Odgłosach" list Ewy Ostrowskiej. **30 kwietnia 1976 roku** przewodniczący zarządu SM „Ogniwo" — **Bogdan Dąbrowski** podpisał pismo do redakcji „Odgłosów", w którym starał się całą rzecz wyjaśnić. Pismo to publikowaliśmy na łamach „Odgłosów" na początku maja br., uważając tym samym sprawę za zakończoną. Okazało się, że pomyliliśmy się. Dlatego przypomnę, że z pisma podpisanego przez przewodniczącego zarządu SM „Ogniwo" wynikało, iż w jednym z bloków, noszącym **nr 17** i znajdującym się przy **ul. Obornickiej** dokonano nieplanowanej wymiany gazu, nie powiadamiając o tym administrację SM „Ogniwo".

Ponieważ **Punkt Administracji Spółdzielni** — jak się on urzędowo nazywa — nie wiedział dokładnie, czy również w innych blokach jemu podległych nie dokonano takiej samej nieplanowanej wymiany, ostrzegł wszystkich na wszelki wypadek. I wydawałoby się, że pracownikom tego punktu powinno za to należeć się podziękowanie. Tym bardziej — jak mnie powiadomiono — że takie ostrzeżenia wywieszono w blokach przy ul. Klonowej 13 i 15.

Ewa Ostrowska — jak już wspomniałem — wszystko to opisała i bardzo się tym gazowni naraziła. **14 maja 1976 roku** dyrektor Łódzkich Okręgowych Zakładów Gazownictwa — inż. **Henryk Wojtera** podpisał pismo, w którym poinformował redakcję „Odgłosów", że w bloku **nr 243** przy **ul. Obornickiej 8**, w którym mieszka Ewa Ostrowska, **„nie była tam nigdy planowana i została dokonana zamiana gazu koksowniczego na gaz ziemny"**, a także i o tym poinformował, że **„po ukazaniu się (...) notatki prasowej przeprowadzona została (...) wizja lokalna"**. Taką wizję lokalną przeprowadzono... w mieszkaniu Ewy Ostrowskiej oraz sporządzono **„Notatkę służbową"**, z której wynika, że w mieszkaniu Ewy Ostrowskiej **„kuchnia gazowa typu „Mitra" jest w dobrym stanie technicznym — pracuje prawidłowo..."**. Z notatki służbowej wynika też, że **„Nie stwierdzono, jak podano w artykule — gazu ziemnego, lecz gaz miejski"**. **„Notatkę służbową"** podpisali: **Ewa Ostrowska, Czesław Wołowski** i **Zbigniew Markiewicz.** Ale Ewa Ostrowska nie pisała, że u niej jest gaz ziemny, tylko, że zachodzi podejrzenie, iż może być. A to nie to samo.

I jeszcze w piśmie podpisanym przez dyrektora inż. **H. Wojterę** znajduje się następujące stwierdzenie:

„Sprawa powyższa znalazła głęboki oddźwięk wśród pracowników naszego zakładu, którzy nie zasługują na podrywanie im autorytetu przez niesprawdzone i niczym nie potwierdzone artykuły w prasie".

Okazało się więc, że to tusz z listu Ewy Ostrowskiej splamił honor pracowników Łódzkich Okręgowych Zakładów Gazownictwa, 90 042 Łódź, ul. Targowa 18, skrytka pocztowa 137. Dlaczego nie splamił ich honoru fakt, iż — jak to wynika z pisma SM „Ogniwo" — dokonali wymiany gazu w budynku nr 17 przy ul. Obornickiej bez uzgodnienia z SM „Ogniwo"? Dlaczego to panowie Czesław Wołowski i Zbigniew Markiewicz musieli aż fatygować się do mieszkania Ewy Ostrowskiej, aby osobiście przekonać się, czy u niej nie ma gazu ziemnego? Dlaczego wreszcie inż. H. Wojtera, podpisując pismo z 14 maja 1976 roku, zgadza się z poglądem, że SM „Ogniwo" w piśmie skierowanym do „Ogłosów" wyjaśniło sprawę, **„przyznając się do pomyłki spowodowanej przez samorząd mieszkańców osiedla"**, skoro ten samorząd i Punkt Administracji Spółdzielni działały w interesie bezpieczeństwa mieszkańców?

Dalibóg, nie z tego nie rozumiem, ale gratuluję poczucia honoru!

MARCIN RODAK

SPORT

MARZENIA O MEDALACH

Mogłoby się wydawać, że jak skończą się ligowe rozgrywki w piłce nożnej, to już nic interesującego nie będzie się w sporcie działo, bo wszyscy będą zajęci przygotowaniami do Olimpiady w Montrealu. Wprawdzie w Ameryce Północnej, a dokładnie w USA odbędzie się w niedługim czasie „rewelacyjne" spotkanie pomiędzy bokserem Ali a japońskim zapaśnikiem Antinio Inoki, ale to jest zupełnie inna sprawa. Ze sportem ma to tylko tyle wspólnego, że obaj reprezentują różne sportowe dyscypliny. Ma to być widowisko, które milionom telewidzów dostarczy mocnych wrażeń, a organizatorom i zwycięzcy kilka milionów dolarów. Na razie między bokserem Ali a japońskim zapaśnikiem Antinio Inoki toczy się walka na słowa. Prowadzi Japończyk.

Sportowcy tego lata nie będą mieli wakacji. Każdą wolną chwilę poświęcają intensywnym przygotowaniom do Olimpiady. Jednak to, co już się dzieje w czasie tych przygotowań, zapowiada ogromne emocje. Właściwie można byłoby spokojnie powiedzieć, że Olimpiada już się zaczęła, choć jeszcze nie zapalono olimpijskiego znicza. Niemal codziennie w doniesieniach agencyjnych nadchodzą wiadomości o rekordach, o nadzwyczajnej formie sportowców różnych krajów. Jeśli tak dalej pójdzie...

Ale zaraz rodzi się pytanie: czy wytrzymają? I jak nasi wypadną na tym tle? Bogatsi o doświadczenia zimowych Igrzysk w Innsbrucku wszyscy nabrali wody w usta i nikt nie odważył się jakoś do tej pory prorokować, jakie nasi sportowcy mają szanse w Montrealu. O kilka dyscyplin możemy być spokojni. Wstydu nie będzie. Ale w innych?

Generalne zadanie dla zespołu polskiego: utrzymać się w pierwszej dziesiątce! Któryż jednak z zawodników, który z zespołów nie marzy choćby już tylko o brązowym medalu? Same marzenia jednak nie wystarczą. Wiedzą o tym trenerzy i „pilują" kandydatów na olimpijczyków jak tylko mogą, i słusznie robią.

Siatkarze nie marzą o brązowym medalu, oni celują na złoty medal. Taki postawili sobie cel i wszystko robią, aby być przygotowanymi do jego osiągnięcia.

„Ważne jest — powiedział w wywiadzie dla „Trybuny Ludu" trener Hubert Wagner — że wszyscy wiedzą, iż będąc w światowej czołówce drużyną o najskromniejszych warunkach fizycznych, osiągnąć mogą sukces jedynie dzięki ogromnej pracy i jej się nie boją".

Fascynujące są tegoroczne przygotowania do Olimpiady. Wydawałoby się, że na rewelacje trzeba będzie poczekać aż do samych rozgrywek w Kanadzie, a tu już teraz padają rekordy. Co będzie dalej? Czy ci, którzy teraz sięgają po najwyższe wyniki, odniosą sukcesy w Montrealu? Czy też może na boiskach, bieżniach i stadionach Kanady pojawią się zupełnie inni zwycięzcy? Wszystko jeszcze przed nami. Ale już dziś wiadomo, że w tegorocznych igrzyskach poważną rolę odegrają zawodnicy NRD.

Kiedy słucha się i czyta o sukcesach sportowców NRD, człowiek się zastanawia, jak oni to robią? Skąd tam taka eksplozja sportowych talentów? W końcu ilościowo zaplecze sportu wyczynowego nie może być większe niż u nas. Wobec tego przyczyna leży tylko w metodzie. Przede wszystkim chyba w masowości sportu, co pozwala na bezbłędne „wyłapywanie" talentów i ich odpowiednie szkolenie.

Rewelacyjna pływaczka NRD, Kornelia Ender potrafiła w ciągu 5 dni stanąć do 10 startów, osiągając za każdym razem wyniki w granicach rekordów. Z dotychczasowej praktyki wiadomo, że zawodnik po maksymalnym wysiłku musi dać organizmowi odpowiedni czas na regenerację. Albo więc Kornelia Ender ma tak rewelacyjny organizm, albo trenerzy NRD dysponują tak rewelacyjnymi metodami odnowy biologicznej. Specjaliści skłaniają się raczej do tego drugiego poglądu.

Czy my dysponujemy takimi samymi metodami? Nie. U nas odnowa biologiczna jest dopiero w stadium zalążkowym. A czasem bywa i tak, że brakuje nam po prostu masażysty. Tylko, że prawdziwie prowadzona odnowa biologiczna nie może ograniczać się do samego masażu. Potrzeba do tego właściwie ułożonego programu zabiegów fizykoterapeutycznych, dokonywanych przez specjalistów przy pomocy specjalistycznego sprzętu. We współczesnym sporcie jest to rzecz niezbędna.

Wiele jest więc do zrobienia. Bardzo często słyszy się, jak nasi zawodnicy na pytanie: co chcą przeciwstawić rywalom? — odpowiadają: — ambicję! Ambicja rzecz ważna i nawet niezbędna. Każdy zawodnik, otrzymawszy olimpijski paszport, powinien marzyć nie tylko o brązowym medalu. Ale sama ambicja daleko nie niedziemy. Z ambicją, jako głównym atutem wyruszyli do Montrealu koszykarze. Niech im się poszczęści! Siatkarze już jednakże ruszą do Montrealu z zapasem sił, umiejętności taktycznych, zdobytych w ciężkich treningach i wcale nie lekkich przedolimpijskich spotkaniach. Z czym pojadą piłkarze? Za dwa tygodnie zobaczymy naszą, starą reprezentację w meczu kontrolnym. Czy srebrnym medalistom z Mistrzostw Świata starczy ambicji na Montreal?

Nim zapłonie olimpijski znicz na stadionie w Montrealu wiele jeszcze ciekawego zdarzy się na boiskach świata.

BOGDA MADEJ

NASZ ŚWIAT

BOHDAN FELT

WĄTPLIWOŚCI

Minęło już niemal sto lat od chwili podjęcia pierwszych prób naukowej analizy zjawisk paranormalnych. Badania te, w których niejednokrotnie brali udział najwybitniejsi uczeni, miały przynieść odpowiedź na pytanie czy zjawiska te rzeczywiście istnieją oraz wyjaśnić ich istotę. I tu właśnie pojawił się zasadniczy problem, bowiem mimo owych stu lat badań, w opinii krytyków nie znaleziono właściwie żadnego dowodu na istnienie zjawisk parapsychicznych, z kolei zwolennicy tych teorii twierdzili, że wręcz przeciwnie — ustalono i to nie jeden. A zatem, która ze stron miała rację?

Opinie krytyków, które niejednokrotnie na drodze naukowej dyskredytowały wyniki badań nad zjawiskami paranormalnymi, nie tylko przekonywały o swej słuszności szeroką opinię publiczną, ale również licznych przedstawicieli świata naukowego. Dlaczego? Sprawa jest dość prosta. Należy przecież pamiętać, że w licznych eksperymentach parapsychologicznych występowali w roli badaczy i obserwatorów wybitni naukowcy, specjaliści z różnych dziedzin, w tym również znani iluzjoniści, którzy byli całkowicie pewni posiadanych zdolności do wykrycia wszelkich tricków. O ile więc niczego, co budziłoby ich podejrzenia nie zaobserwowali, byli święcie przekonani, że wyniki eksperymentu są rezultatem wyjątkowych zdolności parapsychicznych reprezentowanych przez osobę badaną. Żaden z badaczy nie dopuszczał nawet możliwości popełnienia przez siebie błędu. W ten sposób niejako ułatwiono sytuację różnego rodzaju oszustom, bowiem o ile zazwyczaj trick zastosowany w eksperymencie wychodził na jaw w toku dalszych badań, o tyle z uwagi na „nieomylność" badaczy i obserwatorów było to niemal wykluczone. Z drugiej strony sytuacja ta pozwalała chronić uzyskane w toku badań wyniki eksperymentalne.

Naiwność naukowców w dziedzinach, które nie były ich specjalnością, nieraz przyczyniała ich pracom wielce zabawnych treści. Najbardziej znamiennym pod tym względem w okrytej nimbem tajemniczości historii parapsychologii „naukowej", jest bez wątpienia eksperyment z **„Nautiliusem"**.

25 lipca 1959 roku amerykański okręt podwodny o napędzie atomowym **„Nautilius"** wypłynął w kolejny rejs na Ocean Atlantycki. Nie był to jednak zwykły rejs szkoleniowy. Oto bowiem w jednej z kabin okrętu podwodnego znajdował się tajemniczy pasażer. Kabina, w której przebywał, była szczelnie zamknięta i całkowicie odizolowana od pozostałych pomieszczeń okrętu. Zadaniem pasażera było rysowanie pewnych symboli: kwadratu, okręgu, trzech linii falistych, krzyża i gwiazdy — czyli 5 symboli kart Zenera, które to karty były specjalnie przeznaczone do przeprowadzania eksperymentów SPZ (spostrzegania pozazmysłowego).

Człowiek ów pozostawał w łączności telepatycznej z „nadawcą", który znajdując się w „Centrum Badań Specjalnych Westinghouse" w Friendship, odległym około 2500 km, obsługiwał automat z kartami Zenera. Po wyrzuceniu przez aparat karty z symbolem, „odbiorca" na „Nautiliusie" powinien ów symbol narysować. Po zakończeniu rejsu porównano symbole kart wyciągniętych z Friendship z symbolami narysowanymi przez człowieka z okrętu podwodnego. Ponieważ przeprowadzono 200 prób z 5 różnymi symbolami, przeto według rachunku prawdopodobieństwa powinno być 40 odpowiedzi prawidłowych, tymczasem było ich... 140! Dla parapsychologów była to chwila historyczna — doświadczenie dowiodło ponad wszelką wątpliwość, iż telepatia istnieje, przy czym dodatkowo wykazano możliwość telepatycznego komunikowania się przez wodę morską i metalowe ściany kadłuba okrętu podwodnego. Nic więc dziwnego, że eksperyment zdobył sobie szeroki rozgłos niemal w całym świecie, między innymi również w Związku Radzieckim.

Na ten temat wypowiedział się **L. L. Wasiliew**, profesor fizjologii Uniwersytetu Leningradzkiego, zajmujący się jeszcze w latach trzydziestych wpływem telepatii na osoby zamknięte w izolowanym, metalowym pomieszczeniu. W swej książce: **„Sugestie na odległość"**, wydanej w 1962 roku, Wasiliew uznał, iż eksperyment amerykański wydaje się potwierdzać jego własne doświadczenia, niemniej stwierdził, że należy zachowywać dużą ostrożność w wyciąganiu ostatecznych wniosków z tego rodzaju testów. Ta ostatnia uwaga okazała się być w tym wypadku całkowicie uzasadniona.

W niedługi czas potem znany oceanograf francuski **J.—Y. Cousteau**, ujawnił prawdę na temat eksperymentu. Brzmiała ona dość zaskakująco, gdyż okazało się, że cała ta piękna historia była niczym innym jak zręcznie zaaranżowaną mistyfikacją, dokonaną przez przyjaciela Cousteau, dowódcę **„Nautiliusa"**. Ale było już za późno. Wiadomość zdążyła obiec świat, dementi zaś pozostało niemal nie zauważone.

Mimo stosowania różnorodnych metod eksperymentalnych nie zdołano zademonstrować istnienia zjawisk paranormalnych. Czy jednak świadczy to, że rzeczywiście nie istnieją? Niektórzy parapsychologowie twierdzą, że waga dowodów zawartych w spontanicznych przypadkach zjawisk metapsychicznych jest zupełnie wystarczająca do ustalenia ich realności. Świadectw na to, według ich opinii, dostarczają opisy różnych przeżyć z życia codziennego oraz badania osób obdarzonych szczególnymi zdolnościami, takich jak media i jasnowidze.

I tak niejednokrotnie można było przeczytać w prasie nie tylko zagranicznej informacje o skutecznej działalności parapsychologii przy wykrywaniu przestępstw za pomocą spostrzegania pozazmysłowego. Z licznych relacji na ten temat wynikało, iż paragnostycy (ludzie rzekomo posiadający zdolność jasnowidzenia) wiele razy wskazywali policji faktycznych przestępców. Jednakże bliższe badania wydają się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym.

Dr **F. Brink**, który jako inspektor policji holenderskiej badał działalność paragnostyków usiłujących pomagać policji w ściganiu przestępców, wyraził opinię, iż jeżeli sporadycznie korzystano z tej formy współpracy, to w żadnym wypadku policja nie odniosła korzyści z rzekomych zdolności jasnowidzenia parapsychologów. W artykule opublikowanym w roku 1960 na łamach **„International Criminal Police Review"** dr Brink opisał badanie czterech jasnowidzów, z których jeden był bardzo znany. Cechą charakterystyczną było to, iż mimo że przedstawiono im przedmioty dotyczące śledztwa, fotografie, dowody rzeczowe itp. ludzie ci podczas wszystkich testów ani razu nie powiedzieli niczego, co mogłoby naprowadzić policję na jakiś ślad. Przy okazji zaobserwowano metodę postępowania jasnowidzów, którzy najchętniej wypowiadają większość swoich uwag, oświadczeń i wniosków w formie pytającej, co w wypadku uzyskania od eksperymentatora odpowiedzi twierdzącej, powoduje, że jasnowidz natychmiast daje do zrozumienia, że trafił w cel mówiąc: **„Powiedziałem to panu, prawda?"** Sprawia w ten sposób wrażenie, że ów szczególny sposób mówienia jest rezultatem jego nadzwyczajnej wiedzy a nie sondażu.

Interesujący pod tym względem przypadek podaje np. psychiatra **S. H. Posinsky** w artykule na łamach **„The Psychiatric Quarterly"** ze stycznia 1961 roku. Jest to bowiem przypadek, kiedy to medium w USA spowodowało nieuzasadnione aresztowanie człowieka.

Wszystko zaczęło się w momencie, kiedy psychiatra z miejscowego szpitala stanowego polecił policji usługi pewnego znanego europejskiego telepaty. Miał on jakoby dopomóc władzom w wyjaśnieniu zagadkowego morderstwa małżeństwa Jackson i ich dwóch młodych córek, popełnionego na początku 1959 r. Jasnowidz ów, w asyście policji udał się do grobowca Virginia, gdzie znaleziono ciała, po czym poradził władzom policyjnym, aby szukały człowieka, który zajmuje się „śmieciami i rupieciami". Niebawem aresztowano śmieciarza, Johna Tarmona, którego poddano intensywnemu śledztwu. Ponieważ nie uzyskano żadnych dowodów, łączących go z przestępstwem, nakłoniono jego żonę, aby napisała podanie o umieszczenie go w szpitalu psychiatrycznym. Po pospiesznym badaniu Tarmona uznano za umysłowo chorego i odwieziono do szpitala dla psychicznie chorych przestępców. Dopiero tam szczegółowe badania wykazały, że nie był umysłowo chory i musiano go zwolnić. Później okazało się, że FBI, działając przy pomocy bardziej właściwych policji metod pracy aresztowała za to przestępstwo zupełnie innego człowieka.

Również badania mediów nie przyniosły oczekiwanych rewelacji. Seanse takie jak **Eusepii Palladino**, pani **Piper** czy pani **Leonard**, które przez lata przyciągały uwagę badaczy zjawisk metapsychicznych, były w zasadzie podobne do występów jarmarcznych wróżbitów.

„Zapadające w trans medium — jak pisze C. E. M. Hansel w książce „Spostrzeganie pozazmysłowe" — jeśli tylko nie udaje, jest osobą dotkniętą napadami czy stanami zaburzeń przytomności. Występują one albo mimowolnie, albo w pewnych okresach osoba taka okazuje się zdolna wywoływać je dowolnie. Znalazłszy się w takim stanie, nie może już funkcjonować normalnie. Słyszy wyimaginowane głosy, może doznawać wzrokowych i kinestetycznych złudzeń. Jakaś inna rzekomo osoba wydaje się opanowywać jej ciało i umysł. Głos tej osoby przemawia za pomocą jej strun głosowych, wyrażając myśli i przeżycia, o których samo medium nie wie. Może pisać czy porozumiewać się gestami w sposób charakterystyczny dla władającej nią osoby. Cierpi rzeczywiście na dysocjację. W takim stanie może istnieć świadomość codziennych wydarzeń, ale zdolność myślenia i porozumiewania się pozostaje zmieniona. Po odzyskaniu własnego ja występuje niekiedy niepamięć wsteczna, tj. niepamięć wydarzeń, które zaszły w czasie napadu".

Podobny sąd wypowiada również znany angielski psychiatra **J. Ehrenwald**, stwierdzając, że trans mediumiczny **„jest to stan psychicznej dysocjacji pochodzenia histerycznego, wywołany drogą sugestii lub autosugestii u osób szczególnie podatnych na tego rodzaju wpływ (...). Powstawanie transu mediumicznego można więc porównać do znanych objawów histerii, a zwłaszcza do histerycznego rozszczepienia osobowości".**

W dobie obecnej, przeprowadzając eksperymenty metapsychiczne, badacze posługują się testami psychologicznymi, klasyfikując badanych według temperamentu, osobowości i przejściowego nastroju, celem wykrycia czy pewne typy ludzi lub pewne nastroje stwarzają predyspozycje parapsychiczne. Niewątpliwie pewną rolę odgrywają także czynniki biologiczne, jak wiek i płeć, oraz warunki środowiskowe: pogoda, temperatura, a nawet pora dnia. Poza tym stwierdzono, iż osoby przeświadczone o istnieniu zjawisk „psi" i o własnych zdolnościach w tej dziedzinie uzyskują na ogół lepsze wyniki w testach aniżeli sceptycy. Ale czy to wszystko tłumaczy istotę spostrzegania pozazmysłowego, czy dowodzi jego istnienia? Spróbujmy się nad tym chwilę zastanowić, a odpowiedź będzie dość prosta.

Jest bowiem niewątpliwe, że spostrzeganie pozazmysłowe nie jest faktem, ale teorią wysuniętą w celu wyjaśnienia zjawisk, polegających na uzyskiwaniu wysokich wyników podczas eksperymentów. Parapsychologowie prowadząc badania ustalili pewną liczbę faktów. Gdyby więc za pomocą owej teorii można było wydedukować każdy z nich znając inne, miałaby ona pewną wartość. Ale czy omawiana wyżej teoria jest w stanie rzeczywiście wyjaśnić poszczególne fakty. Z punktu widzenia oceny wyników eksperymentów parapsychicznych odpowiedź musi być jednak negatywna, bowiem choć przy odgadywaniu np. symboli kart Zenera badani uzyskiwali wyniki, których nie można przypisać przypadkowi, to jednak niektórzy uczestnicy doświadczeń posługiwali się oszustwem, zaś ci, którzy często uzyskiwali wysokie wyniki nie mogli ich niejednokrotnie osiągnąć w obecności krytycznego badacza, poza tym zdolności uzyskiwania wysokich wyników często zanikały u badanych po zakończeniu eksperymentu, a żadna z osób badanych nie zademonstrowała nigdy zdolności przy całkowicie zmechanizowanej procedurze testowej. Podobnie przedstawiała się sprawa przy innych typach eksperymentów. Wyłania się w takim razie pytanie, co decyduje o żywotności badań nad zjawiskami paranormalnymi.

Postęp w nauce odbywa się dzięki procesowi naturalnej selekcji. Każde nowe odkrycie musi zostać potwierdzone przez krytyków w ich warunkach eksperymentalnych. W przypadku pseudonauki zasada ta nie obowiązuje, w rezultacie ta nowa „nauka" nie jest zdolna do przewidywania i prowadzi do dalszych odkryć oraz teorii, nie do pogodzenia z rzeczywistą nauką. Taką właśnie pseudonauką jest parapsychologia, gdzie jeśli nie udaje się potwierdzić istnienia zjawisk parapsychicznych, nie jest to dostatecznym powodem do porzucenia badań, lecz wręcz przeciwnie, przeświadczenie o ich realności jest tak silne, iż odrzuca się tu zasadę powtarzalności, odwołując się do coraz to nowych procesów stanowiących rzekomo uboczne cechy tych zjawisk. Niemniej należy podkreślić, iż choć blisko stuletni wysiłek badaczy parapsychologii nie doprowadził do żadnych rewelacyjnych rezultatów, to bez wątpienia poważnie przyczynił się do wzbogacenia ludzkiego poznania w tej nieznanej nam dziedzinie. Niewykluczone, iż w przyszłości nauka zdoła rozwiązać tę zagadkę i wówczas wyjaśni się ostatecznie tajemniczy fenomen zjawisk parapsychicznych. Ale nie nastąpi to chyba zbyt szybko.

PRZEKŁADY

MUHAMMAD BU-ALAH

EKSPERYMENT

Twarz jej była ohydna i nawet najlepsze paryskie kosmetyki nie mogły jej nic pomóc. Setki ranek uniemożliwiały każdą próbę upiększenia nieznośnie oszpeconej twarzy.

Co chwila popadała w głęboką zadumę i powracała myślami do dni, kiedy była piękna i pociągająca, wskrzeszała je w swej pamięci, a wraz z niemymi westchnieniami wydobywającymi się z jej piersi, płynęły po bruzdach i bliznach łzy, które powstrzymywała z ogromnym wysiłkiem. I tylko wtedy znajdowała chwilowe pocieszenie, kiedy zamykała drzwi swojego pokoju i rozbierała się przed lustrem, aby nacieszyć się pięknem ciała pełnego gracji. Cóż z tego! Gdy tylko spojrzenie jej padało na oszpeconą twarz, znikała wszelka radość i ogarniała ją rozpacz. Ubierała się pośpiesznie i znów nawiedzało ją długotrwałe otępienie. Czasami otrząsała się z niego na widok swego synka, który rzucał ku niej naiwne spojrzenia. Wtedy właśnie mówiła sobie:

Nie zna twoich spraw, ale być może przyjdzie taki dzień, kiedy zrozumie, że cudze matki cieszą się urodą, a jego matka pozostawiona jest swojej brzydocie i być może zacznie cię wtedy traktować tak, jak traktuje cię jego ojciec. Odsunie się od ciebie, aby pozostawić cię samą w pokoju, który jest twoim więzieniem.

Myśli takie ogarniały ją zawsze, ilekroć patrzył na nią wyczekująco i jakby ze zdziwieniem.

Obejmowała ramionami swoją głowę, aby stłumić łkanie. Powoli ból mijał. Przywoływała dziecko, a jej płacz ucichał stopniowo. Tłumaczono jej nie raz, że tylko ona sama ponosi odpowiedzialność za swój wybór, który doprowadził ją do tej upokarzającej sytuacji, w której się obecnie znajduje. Ona zaś sądziła, że wszystkie sprawy można było pozostawić tak, jak były, nie chciała uznać upływu czasu, nie liczyła się z innymi, ani z tym, czego wymagały od niej warunki współżycia. Odwrotnie, sądziła, że mąż jej nie ma prawa wiedzieć tego, jak postępuje, a w swej pewności siebie dotarła do takich granic, że rodzina i sąsiedzi małżonków zaczęli przypuszczać, że mąż zajmuje się tylko własnymi sprawami i nie ma czasu na kontrolowanie jej zachowania. Mówi się, że ostatni zawsze dowiaduje się mąż. W tym wypadku było jednak odwrotnie: mąż był pierwszym, kto dowiedział się o jej rozwiązłości i rozpuście. Wtedy właśnie podjął grę: chciał, aby bieg spraw doszedł do swoich ostatecznych granic, pomagał mu i przyśpieszał jego bieg. Równocześnie sugerował wszystkim dookoła, że to, co odrzucali jako nieprawdopodobny wymysł jest najczystszą prawdą. Dlatego właśnie pozostawił żonie całkowitą swobodę i robił to po to, aby jego ojciec przekonał się, że to, czego żądał od niego jest słuszne.

Bardzo kochał swoich rodziców, jednakże sądził, że warunki, w jakich żyli uczyniły ich poglądy przestarzałymi i nieprzydatnymi dla epoki, w której my żyjemy.

A gdy chciał się ożenić, musiał wpierw rozwiązać dylemat: albo postąpić zgodnie z tradycją i poddać się w tej sprawie woli rodziców, albo sam mógł wybrać dla siebie żonę, a wtedy naraziłby się na gniew rodziców i ludzkie obmowy. Ostatecznie pokonał jednak w sobie własne dążenia, postanowił spróbować i postąpić tak, jak chcieli rodzice. Czuł, że ryzykuje i spodziewał się jak najgorszych skutków tego ryzyka. Nie znalazł w sobie jednak dość siły, aby obronić swoje racje, a wkrótce rodzice przedstawili mu kobietę mówiąc, że to jest jego żona. Pewnej nocy patrzył na nią, gdy była pogrążona we śnie, patrzył na jej miękkie włosy i myślał: Dokonali wspaniałego wyboru. Jakaż ona jest piękna! Kto wie, może znajdę szczęście w splotach jej włosów? Przecież wielu w ten właśnie sposób znalazło najlepsze żony...

Podciągnął kołdrę i zasnął u jej boku marząc o szczęściu.

Jednakże minęło zaledwie parę dni, a już doszły do niego słuchy o jej podejrzanych związkach z innymi, co bardzo go zasmuciło.

Ogarnęły go wątpliwości, jednakże rozsądek mówił mu, że jej postępowanie może się zmienić, o ile znajdzie w swoim domu to wszystko, czego może pragnąć kobieta. Zaczął poświęcać jej znacznie więcej uwagi mając na względzie przysłowie: jeżeli kobieta zdradza, to mąż nie jest bez winy.

Ona jednak nie przywiązywała wagi do jego zainteresowania, sądziła, że jest opętany miłością do niej, nie wydawało jej się możliwe, aby mógł odpłacić jej podwójną miarką i nie zmieniła swojego postępowania. A on, po tym jak nie pomogła jego troska o nią, zastanawiał się nad próbą, jaka mogłaby ją oczyścić.

Minęło kilka tygodni i już cała rodzina wiedziała o zdradzie. Wszyscy unikali słów, które mogłyby wzbudzić podejrzenia lub zmącić umysł męża. Otoczyli go przesadną troską tak, jakby chcieli wynagrodzić mu nieszczęście, które go spotkało. On zaś próbował pochwycić ich spojrzenia, które uciekały spłoszone, kryjąc gdzieś w głębi ból i współczucie i wszystko to rozniecało jego gniew spowodowany tą poniżającą sytuacją.

Mijały powoli godziny, w których rozmyślał nad swą pomyłką, jednakże nie robił nic i tylko czekał na to, że rodzice zrozumieją jego punkt widzenia, przyjmą go jak własny i sami zmuszą go do opuszczenia takiej żony.

Aby przygłuszyć plotki, matka jego zaczęła wszędzie towarzyszyć żonie, zaś ona skrępowana taką opieką pieniła się ze złości i zażądała nawet opuszczenia domu rodziców i zamieszkania gdzieś za miastem. Próbował łagodzić jej gniew różnymi sposobami, a z rozwodem postanowił zaczekać do chwili, gdy dziecko można będzie odstawić od piersi. Jednakże pewnej nocy, gdy już miał wejść do sypialni, matka zagrodziła mu drogę. Była zmieszana i czuło się, że słowa przychodzą jej z trudnością:

— Sumienie nie wybaczyłoby mi, gdybym nadal ukrywała to przed tobą...

Udał zdziwienie i spytał:

— Co?

— To, że twoja żona zdradza ciebie, że splamiła honor naszej rodziny, zepsuła jej dobrą sławę!... Musisz się nad tym zastanowić...

Wybuchnęła płaczem zanim skończyła ostatnie zdanie i oddaliła się zmieszana.

Wszedł do sypialni i położył się obok swej wiarołomnej żony. Długo patrzył na nią zaciskając zęby, długo w noc rozmyślał o zemście:

— Rozwód jest nieunikniony. Jest on konieczny zarówno ze względu na jej złą sławę, jak i to, że splamiła honor rodziny. Była to ostatnia jego myśl przed zaśnięciem.

A gdy następnego dnia wrócił wieczorem do domu, przyniósł ze sobą butelkę i schował ją pod łóżkiem. Gdy przyszedł czas snu i położyli się razem do łóżka, długo przyglądał się jej twarzy. Potem udał, że chce mu się spać i kobieta wkrótce zasnęła również. Wtedy wyciągnął butelkę, namacał w ciemności jej twarz i wylał na nią kwas azotowy. Zerwała się krzycząc przeraźliwie. A on udając zdziwienie spytał ją:

— Co ci się stało, moja droga?

Odpowiedziała:

— Wybacz mi, ale czuję, że moja twarz płonie...

Zapalił światło i spytał o przyczynę tego palenia. Przyniósł trochę wody i chusteczkę i zaczął zmywać nią poparzoną twarz. Ból osłabł powoli. Wreszcie usnęła, aby rano obudzić się z oszpeconą twarzą.

Zamknęła drzwi swojego pokoju i nie opuszczała go więcej.

Wiedziała, że nie porzucił jej przez wzgląd na syna i on stał się jej ostatnią nadzieją po tym, jak wszyscy odsunęli się od niej.

A jednak i tu nawiedzały ją czarne myśli. Gdy wyobrażała sobie jego obrzydzenie, kiedy dowie się prawdy, zaciskała dłonie chcąc go udusić. Podczas jednego z ataków szału, rzuciła się na dziecko, włożyła dwa palce w jego oczy i wyjęła je. Potem usiadła i patrzyła na syna z obłędem.

Tak możesz żyć u mego boku przez całe życie i nie zobaczysz mojej szpetoty, a gdyby nawet próbowali ci ją opisać i tak nigdy nie zrozumiesz rozmiarów tego oszpecenia...

Krzyk dziecka wypełniał cały dom, a ona siedziała nadal i patrzyła na nie w otępieniu.

Gdy włamano się do jej pokoju, wciąż jeszcze trwała w tym stanie. Gdy ojciec zbliżył się do swego dziecka, przerażenie ścisnęło mu gardło. Wpatrywał się w ojca, w matkę i w żonę, z której palców wciąż jeszcze ściekała krew.

Zaniósł dziecko do najbliższego lekarza, a gdy wrócił towarzyszyli mu policjanci, którzy zabrali ze sobą żonę. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, zbliżył się do rodziców i rzekł:

— Oto skutki waszego wyboru, a więc teraz wybiorę sam...

Przekład z arabskiego: ELEONORA KARPUK

JANKA BRYL

BAJDY DOLNE

(fragment)

„HISTORIA"

Mam i ja, oczywiście, swój zakręt z gościńca na drogę polną, wiodącą do rodzinnej wsi. Nawet nie jeden, ale dwa zakręty — jak gdyby symboliczne: z zachodu i ze wschodu. Z zachodu wróciłem pewnego razu po dość długiej rozłące, ze wschodu, w charakterze gościa, przyjeżdżam dosyć często i prawie zawsze ze wzruszeniem. Raz bywa ono silne, czasem słabsze, ale w czymś zawsze jedyne, własne na całe życie.

Samochody, jak dotąd, nie odczuwają żadnych wzruszeń na zakrętach, kiedyś jednak konie, czując bliskość domu, wzruszały się podobnie jak i ludzie.

Gniady starego Kaczki był ślepy, z gościńca trzeba było skierowywać go lejcami. A i sam gospodarz nie widział na prawe oko. O nich to, o gospodarzu i koniu, mówiono: „Jedno na dwóch". Trudniej natomiast byłoby powiedzieć, w jaki sposób dzielili się swoim wzruszeniem i jaki zachodził stosunek między tymi ich wzruszeniami.

Tej zresztą nocy, kiedy na świecie hulała i wyła w ciemnościach biała zawierucha, Zachar Iwanowicz Kaczkó (tak on lubił siebie nazywać, z akcentem na „o") wracał z kaczmy pieszo. Długo szedł z miasteczka, nie było mu łatwo, plątały się nogi, prowadził przy tym monolog wewnętrzny. Wreszcie w jakiś sposób natknął się na słup obok zakrętu — objął go uszczęśliwiony, przytulił obrośnięty policzek do zimnego drzewa, po cichu, pieszczotliwie zapytał:

— Czy to tutaj wieś Bajdy Dolne?

Zapytał tym razem po polsku, gdyż działo się to jeszcze w kraju mego dzieciństwa, w połowie dwudziestych zachodniobiałoruskich lat.

Wiele upłynęło czasu, ale za każdym razem powraca to pytanie, gdy tylko milczący słup przy zakręcie zacznie się do ciebie zbliżać, kiedy na jego jedynym drewnianym ramieniu znowu ujrzy się napis — nazwę naszej wsi, od dawna już w języku białoruskim.

Jeden z moich przyjaciół, znany krytyk literacki z bratniej republiki, z którym spotykamy się dosyć rzadko, ale za to z prawdziwą przyjemnością — od dłuższego czasu namawiał mnie, żebym napisał „jakieś dwa, trzy opowiadania na tematy historyczne". Jego miarodajna uporczywość nasuwała mi podejrzenie, że te opowiadania potrzebne są nie tyle naszej literaturze, ile mnie samemu — dla odprężenia i żebym trochę odszedł od zbytniej liryczności. Za każdym razem śmiałem się w odpowiedzi, nawet nie przeczuwając, że coś takiego jednak się zdarzy.

„Na tematy historyczne!"

To, o czym chcę teraz opowiedzieć, to także już historia: pięćdziesiąt lat od zawieruchy w ową ciemną noc, skaliste grzbiety wojny, oddzielające tamten czas od dnia dzisiejszego, nagłe przejście od pstrokaciny wąziutkich zagonów do socjalizmu przemysłowego...

Ale, ale... może lepiej będzie, jeżeli zacznę bez jakiegokolwiek wstępu, od tego, co często i wesoło się wspomina, co się widzi — czasem z daleka, czasem zupełnie z bliska.

„ALEM GŁODNY"

Nie umieli kłamać i nie lubili kłamców bracia Ciwunczykowie, choć obaj należeli do ludzi światowych.

Żyli po bratersku, gospodarki prowadzili jednak oddzielnie. Starszy, Ściapan, wojował na początku stulecia z Japończykami w Mandżurii i żonę swoją nazywał niby z chińska f i m a. Młodszy, Alisiej, w czasie pierwszej wojny światowej znalazł się w Rumunii i dlatego jego żona nazywała się — f u m e j a.

Dziadźka Ściapan był nie tylko starszy wiekiem, ale i większym światowcem. Ukończył nawet miejską szkołę, co było, jak na owe czasy, bardzo wysokim we wsi pułapem. Nie tak dawno jeden z moich dobrych znajomków, wiejski nauczyciel — emeryt, wspominając swoją odległą młodość, powiedział, że — „miejska szkoła, to — ho, ho — coś więcej niż teraz aspirantura"... Mnie zaś przypomniało się, że kiedyś, gdy odrabiałem lekcje, dziadźka Ściapan właśnie siedział u nas, długo patrzył na mnie spode łba w milczeniu, a potem nagle, zupełnie nieoczekiwanie zapytał:

— Siedem razy dziewięć?

Byłem wtedy w czwartym oddziale polskiej siedmioklasówki, uchodziłem nawet za prymusa, ale to zdumiewające pytanie tak mnie zaskoczyło, że odpowiedziałem coś ni w pięć, ni w dziewięć.

— Ot, a niby to uczą! — powiedział dziadźka Ściapan z naciskiem, co oznaczało, że jednak nie uczą mnie według **Malinina i Burenina.**

W jakieś trzydzieści lat później, gdy już miałem w dorobku więcej niż dziesięć książek i to w trzech językach, stary dziadźka pewnego razu, siedząc na ławeczce przed chatą, zainteresował się, co też ja robię w tym dalekim mieście. Choć byliśmy tylko we dwóch, zapytał szeptem, nieomal konspiracyjnie:

— A ty, Antonowiczu, co? Chyba jesteś księgowym? Pięćset rubelków pewnie ci płacą?

Chodziło o ruble poprzednie, w przeliczeniu na obecne oznacza to pięćdziesiąt.

Cóż, nikt nie bywa prorokiem także i w Bajdach Dolnych!... I w samych Bajdach i w okolicy. Pewnego lata, a miałem już tych książek może piętnaście, tłumaczonych na cztery języki, szedłem do ciotki do Plechowa. A z naprzeciwka jechali, stojąc na drabiniastych wozach, dwaj weseli plechowscy obwiesie. W naszych stronach uczniowie pozdrawiają starszych, ale teraz ci dwaj chłopcy byli na wakacjach, pomagali zwozić snopy. Przejechali obok w milczeniu, dopiero po niejakimś czasie jeden z nich dźwięcznym głosem radośnie zawołał:

— Widziałeś go, Waleryk? To ci dopiero morda!

Roześmiałem się, ale szczerze mówiąc — było mi przykro.

No, ale to chłopcy. Co innego, dziadźka Ściapan! Mając za sobą miejską szkołę, nie z jednego pieca chleb jedząc — nigdy nie czytał ani książek, ani gazet. Nawet nie mogę uwierzyć, żeby sam potrafił włączyć radio. I to już, ma się rozumieć, po tej wojnie, kiedy wreszcie rozstał się z ubóstwem, kiedy nie słyszało się jego westchnienia: „Alem i głodny!", które jednocześnie było jego przezwiskiem.

Z wojny japońskiej wrócił ranny, z dwoma krzyżami św. Jerzego na piersiach. Brakło mu jednego żebra, trzęsły się jego sine, obrzękłe ręce. Zresztą, trzęsły się one i wtedy, gdy go poznałem, kiedy z zachłanną dziecięcą ciekawością słuchałem jego opowiadań o walce na bagnety. Po Mandżurii miał za sobą mateczkę — Odessę, awans na jakiegoś skrybę, upadek do stanu przygodnego ładowacza drzewa. Jednak żeby się ożenić, przyjechał do rodzinnej wsi (wydawało mi się, że przyleciał na skrzydłach), we dwoje wyjechali do Pitra. Miał tam szczęśliwy okres w swoim życiu, najpierw służył jako strażak w teatrze, a potem jako listonosz. A potem znowu Bajdy Dolne i do tego szczęścioro dzieci przy zupełnej nieumiejętności gospodarowania. Ziemi mieli z bratem po równo, jednak starszy czyli Ściapan, którego tak długo „nie było na ojcowiźnie", żył bardziej ubogo, choć można powiedzieć że żyły ze siebie wypruwała jego SAMA — kobieta i ładna, i pracowita.

Nie lubił on ani Kaczki z jego chińskim T a n k u, ani Lotnika z jego Peterhofem, ani Cimocha z jego łgarstwami. W życiu bowiem dziadźki Ściapana zbyt wiele było autentycznych przygód, choć nawet jego najzabawniejsze opowiadania przenikała gorycz, czasem zaś apatia i cynizm. Opowiadając, nie szczędził i siebie samego.

— Ano, no tak... ładowacze... Nasi rozpijaczeni braciszkowie... Jeden z nich wyciął w worku trzy dziury: dla rąk i dla głowy. A drugi goluteńki, jak go Pan Bóg stworzył! „Mrrróz... tylko gwiazdy migoczą..." To ten drugi. A ten pierwszy: „Dooobrze ciebie, bracie rrozumiem i tobie współczuję, sam w zeszłym roku cierpiałem bez przyodziewku..."

Wśród takich to ludzi żył Ściapan Michajłowicz. Na samym d n i e Maksyma Gorkiego.

— A zdarzy się sprawdzanie dokumentów! Pędzą nas, gołąbeczków, od samego, od sinego morza aż do cyrkułu. „Po jednemu! Po jednemu!" Wchodzisz, bracie, a tam stoi sobie taki dryblas, każda pięść pudowa. Jak ci zajedzie po pysku — lecisz aż do drzwi! A tam już drugi taki dryblas. Jak trzepnie w szyję — sam drzwi głową otworzysz! I już znowu jesteś na ulicy, bez żadnych takich głupich formalności, znowu nad brzegiem morza sinego.

A o swojej „fimie" i w ogóle o wszystkich żonach:

— Ano, no tak... Ledwie się ożeniłeś, już się zaczęło. Gębę, bracie, otworzy i: „A-a-a!" Ty jej do gęby wsuniesz łapcie, buciczki, onucze, pończoszki. Tytam i bluzeczki, spódnice, kapelusiki, parasoleczki, chusteczki! Mało, mało i mało! W Pitrze to moja fima czasem taszczyła mnie do samego błogosławionego Iwana Kronsztadskiego. Do jego cudami słynącego grobu, żeby za dobrodziejstwa dziękować... Ano, no tak... Położę swój krwawo zarobiony grosz i jeszcze łbem swoim, jak jaki baran, walę w kamienną podłogę. SAMA, ona wszystko sama wymyśli...

Pewnego razu SAMA pojechała na jarmark, kupiła parkę prosiąt. Okazało się jednak, że wcale nie chciały nic jeść. Jako tako doczekali się następnego jarmarku i SAMA wysłała z prosiętami swojego Ściapana. Jak na dobitkę, nie było pogody. Dziadźka stał zgarbiony obok wozu, napróżno usiłował w rękawach mokrego kożucha ogrzać swoje obrzękłe, posiniałe ręce. Chuda kobyła rozgrzewała się, żując resztki mokrego siana, u wozu wisiał związany, długi i przemoknięty worek, w którym, na samym dnie, dotykając ziemi, poruszały się i pokwikiwały owe ociekłe „szczury".

— Prosiaki? — zapytał przechodzący, ewentualny nabywca.

— Ano, no tak, bratku. Bierz je, żebym choć miał wolne ręce. Nic, powiadam ci, nie chcą jeść...

Odznaczał się wyjątkową cierpliwością, rzadko kiedy przerywaną wybuchami straszliwego gniewu. Obrywała wtedy zarówno SAMA, jak i dzieci. Potem zaś znowu wpadał w apatię i sceptycyzm, ograniczając się do monotonnego zawodzenia: „Alem i głodny! Ach, gdyby tak ucywilizować jakieś udo wieprzowe..."

— Ano, no tak... To było, kiedy zaczęła się swoboda — wspominał pewnego razu petrogrodzką wiosnę siedemnastego roku. — Gdzie tłum, tam od razu mityng. Wlezie sobie taki jeden na beczkę i „ta-ta-ta!"... Ten jeszcze nie skończył — ściągnięto go z beczki, czasem i po łbie oberwał — już pojawia się drugi, trzeci, czwarty... A ja sobie stoję — w jednej kieszeni bułka, a w drugiej — kiełbasa. Ale na beczkę też hop! Młodszy byłem, lżejszy. Tylko chciałem zacząć „ta-ta-ta-ta", kiedy mnie ktoś ściąga za spodnie i wali po łbie. A tu już, patrzysz, szósty stoi na beczce... Ano, no tak... Czego to ja wtedy mogłem chcieć?

Gorzki, beznadziejny śmiech. Krótki, urywany.

W jego opowieściach Japończycy, gdy szli na bagnety, nie krzyczeli „banzai", ale jak Turcy: „Allah, Allah!" Twierdził to z absolutnym przekonaniem. Podobnie twierdził, że on sam, „on osobiście", gdy był listonoszem, „nosił pocztę pisarzowi Gogolowi, w dziewięćset dwunastym, a nawet i później..." Uzupełniał szczegółami — jak to Gogol, czasem zaś Gogolew (co brzmi szlachetniej) chodził „zamyślony po swoim wspaniałym gabinecie", a w dodatku „dawał olbrzymie napiwki".

Przydarzał się dziadźce Ściapanowi i śmiech nieco pogodniejszy, rzadko kiedy, przez chwilę, ale jednak... Pasie na ten przykład krowę na postronku przy ścieżce, dróżce polnej lub nawet między zbożami. Dzieci sąsiedzkie również czynią to samo. Dziatwa lubi porozmawiać nie tylko między sobą, ale i z dorosłymi. Namyśla się, o czym? Za piękną — w lecie szumiącą żytem — doliną, daleko na wzgórku nad chałupami, nad drzewami miasteczka jaśnieje cerkiew, biała, o kopułach koloru sałaty.

— Dziadźka, a czy ty wiesz, że cerkiew przed Zielonymi Świątkami pobielili? — zaczyna najbardziej rozmowna, najbliżej stojąca dziewczyna.

— Ano, no tak... pobielili... — zgadza się dziadźka.

Sąsiadeczce jest jednak tej odpowiedzi za mało:

— Dziadźka, jakże to tak mogli ją pobielić? Toć ona taka wysoka, to jak?

— Nawet bardzo, szanowna ty moja sąsiadeczko, zwyczajnie: przewrócili, pobielili i znowu postawili.

Swoje dzieci, ma się rozumieć, on także lubił. Było ich jednak o wiele za dużo, jak na tę nędzę, a do tego jeszcze dwaj chłopcy się nie udali. Starszy, który miał przezwisko Żmaka, repetował pierwszą i drugą klasę, sam przestał chodzić do szkoły, Miszę zaś wyrzucono z trzeciej klasy za beznadziejne dwójki i złośliwe sprawowanie.

— Ano, no tak... — burczał pod nosem dziadźka Ściapan — obu usunięto ze względu na redukcję per-so-ne-lu.

Dziadźka różne takie zwroty i słówka bardzo lubił. Do nas często przychodził wieczorami, rozsiadał się, długo opowiadał. Odchodząc zaś, prawie zawsze do naszej matki, która niezmodrowanie siedziała przy kołowrotku, mówił słowami z opery, której kiedyś słuchał za kulisami, będąc strażakiem:

Ano, no tak... To do widzenia, Dżulietko, bardzo możliwe, że przyjdę znowu pojutrze...

Przychodził jednak już nazajutrz.

Przeł. JAN HUSZCZA

magazyn

WACŁAW PAWLAK

JEDNI DO OSTENDY INNI... NA WIŚNIOWĄ GÓRĘ

Przywykliśmy już do tego, że w okresie lata masowo opuszczamy Łódź, udając się na wczasy nad morze i jeziora, w góry i w pobliże rzek i lasów. Owo dążenie do wypoczynku w otoczeniu przyrody stało się tak powszechne i zrozumiałe, że wyjazd urlopowy do którejś z licznych miejscowości wczasowych uważamy dzisiaj za wydarzenie zupełnie normalne, nie wymagające jakiegoś komentarza.

A jak z tym bywało przed laty, powiedzmy na początku naszego stulecia? Pobyt w Łodzi z nadejściem pory letniej stawał się ogromną udręką. Spiekota i kurz wypełniały nieskanalizowane miasto.

W prasie łódzkiej już z wiosną pojawiały się liczne anonsy o letnich mieszkaniach z werandami i ogrodami. Można było wynająć je w wielu wsiach podłódzkich. W miejscowych „zeitungach" reklamowały się także zagraniczne „bady" i „kurorty", jak Zoppot (Sopot) z osławionym kasynem gry, Kolberg (Kołobrzeg) i Reinerz (Duszniki).

Bogatsza Łódź wyludniała się już z początkiem lata. Arystokracja przemysłowa i finansowa porzucała swoje zajęcia, wyjeżdżając do znanych zagranicznych miejscowości uzdrowiskowych i kąpielowych „dla poratowania zdrowia". Częstokroć był to tylko pretekst, za którym kryła się nadzieja na szampańską zabawę i przeżycie jakiejś przygody miłosnej. Jedni udawali się na Riwierę, inni do Karlsbadu (Karlowe Vary) lub nad Morze Północne, do modnej wówczas Ostendy. Częstym gościem tego kąpieliska była Scheiblerowa, wdowa po jednym z najzamożniejszych przemysłowców łódzkich. W ślad za nią podążały snobizujące się żony i córki miejscowych fabrykantów.

Większość zamożnego mieszczaństwa udawała się wszakże do nie tak renomowanych jak zagraniczne, ale niemniej skutecznych, a znacznie tańszych uzdrowisk krajowych: Ciechocinka, Buska, Nałęczowa. Ci zaś łodzianie, którzy potrzebowali leczenia sanatoryjnego, a z rozmaitych przyczyn nie wyjechali do uzdrowisk krajowych czy zagranicznych, mieli możność korzystania z usług zakładu hydropatyczno-dietetycznego, znajdującego się w podłódzkiej wsi Rogi, na skraju łagiewnickiego lasu.

„Zakład jest wzniesiony na wzgórzu, w malowniczym ustroniu około 7 wiorst od Łodzi — pisał „Kurier Warszawski". — W dwupiętrowym budynku murowanym, przeznaczonym na pensjonat, znajdują się 24 obszerne pokoje na pierwszym i drugim piętrze, na parterze zaś mieści się czytelnia, zakład restauracyjny i sala bilardowa. Kurhaus znajduje się w oddzielnym, o kilka kroków położonym budynku murowanym. Tutaj mamy wanny, natryski, tusze itp. Na tyłach zakładu urządzono park, ciągnący się pół wiorsty, aż pod sam lasek dębowy".

Sporo łódzkich rodzin okres letni spędzało na wczasach w okolicznych wsiach. Chłopskie furmanki, wymoszczone słomą, zabierały łodzian wraz ze składanymi łóżkami, pościelą i niezbędnym sprzętem domowym na „letniaki" do Wiskitna, Bedonia, Wiśniowej Góry zwanej przez dowcipnisiów dla fasonu „Kirszenbergiem", do Bełdowa koło Aleksandrowa i wielu innych wsi, byle malowniczo położonych i mających „mahoniowe" powietrze. Sporą frekwencją wczasowiczów cieszył się Inowłódz nad Pilicą, gdzie jak wiemy spędzał wakacje z rodziną Julian Tuwim.

Ci wszyscy, którzy w okresie letniej kanikuły musieli przebywać w Łodzi, a takich była ogromna większość, mieli do dyspozycji nieliczne parki łódzkie, zwłaszcza Helenów i Źródliska, oraz las łagiewnicki. W Helenowie, naówczas bardzo popularnym, można było posłuchać kapeli wojskowej i odetchnąć zapachem zieleni. Wycieczka do Łagiewnik wymagała już całego dnia. Jeżdżono tam własnymi i wynajętymi powozami, zabierając obfite zapasy żywności. Tak jak dziś do dobrego tonu należy mieć co najmniej „Syrenę" lub „Małego Fiata", tak wówczas każdy szanujący się, a zasobny w gotówkę obywatel Łodzi musiał posiadać do własnej dyspozycji karetę, powóz lub chociażby bryczkę z parą koni. Nie wszystkich jednak stać było na taki luksus, toteż dużym powodzeniem cieszyły się różne „remizy", w których można było wynająć pojazdy i konie. „Wyśmienitych kilka par koni jest w każdej chwili tak na niedzielne spacery jak i w odległe miejsca podróży do wynajęcia" — głosił jeden z anonsów.

Ludzie w podeszłym wieku, a także małe dzieci z zamożnych domów pod opieką bon i służących, spędzali pogodne dni lata na spacerach i wysiadywaniu na ławkach wśród zieleni Promenady (dziś Al. Kościuszki).

Najliczniejsza warstwa mieszkańców Łodzi, robotnicy przemysłowi, którym najbardziej był potrzebny kilkudniowy wypoczynek poza miastem ze względu na uciążliwość i szkodliwość dla zdrowia wykonywanego przez nich zawodu, nie mogli nawet marzyć o takim wypoczynku chociażby z tej przyczyny, że obowiązujące podówczas ustawodawstwo pracy nie przewidywało prawa robotników do urlopu.

Ci robotnicy, którzy posiadali krewnych na wsi, byli chociaż w tym szczęśliwym położeniu, że mogli do nich wysłać na okres letni swoje podrastające dzieci. W zamian za wikt i pobyt na świeżym powietrzu pasały one bydło i pomagały krewnym przy pracach w polu.

Jedyną sposobność do wypoczynku w otoczeniu przyrody stwarzały robotnikom łódzkim dni wolne od pracy. W pogodne niedziele i święta udawali się oni wraz z rodzinami na całodzienne „majówki" do okolicznych lasów, bądź też wylegali tłumnie na podmiejskie pola i łąki.

Takie to były „wczasy" ogromnej większości mieszkańców ówczesnej Łodzi.

ALE UPAŁ!

BOHDAN PIĄTKOWSKI

NOCNE ŻYCIE

Dyrektor Kądziołek był wyraźnie wzburzony.

— Proszę, siadajcie kolego — powiedział szorstko, pokazując krzesło. — Chciałbym wiedzieć, kto was skłonił do rozsiewania plotek na terenie zakładu; kto was do tego namówił i kto instruował? Chyba nie chcecie we mnie wmówić, że sami z siebie doszliście do takiej niesubordynacji. Zajmowaliście u nas odpowiedzialne stanowisko, a jakże, starszy kontroler to nie byle kto... i nagle taki wyskok! Całe szczęście, że mamy też i lojalnych pracowników, którzy w porę dają znać co się kroi!

Cymeliusz Nibyto podniósł oczy i wyszeptał:

— Bardzo mi przykro, panie dyrektorze, naprawdę, ale sądziłem, że nocą w ramach indywidualnego spędzania wolnego czasu człowiek może sobie pozwolić...

— Dajcie spokój — przerwał z nismakiem dyrektor. — Nie będziecie mi tu siać zamętu wśród załogi pod pozorem spędzania wolnego czasu. Toż to nie wolność, a po prostu anarchia. Czy zdajecie sobie sprawę do czego może doprowadzić taki brak dystansu wobec ministra i to w dodatku wobec naszego ministra resortowego?

Urzędnik wił się pod badawczym spojrzeniem szefa.

— Rozumiem, dystans dystansem — usiłował się tłumaczyć — ale minister to przecież także człowiek pracy.

Twarz dyrektora przybrała wyraz niebotycznego zdumienia.

— Czy nie zdajecie sobie sprawy, że to jeszcze gorzej? Więc znęcacie się nad panem ministrem, jako symbolem świata pracy? Człowieku, przecież to cynizm bez precedensu!!

— To było bez udziału mojej woli — powiedział Nibyto, w którego oczach pojawiły się łzy. Po prostu swobodna gra podświadomości i wolnych skojarzeń.

— Nie kręćcie! Wykorzystujecie kierownika resortu w charakterze, wstyd powiedzieć, sennej mary i jeszcze wam tego nie dość? Ale niech się wam nie wydaje, że na wasze perfidne wybiegi nie ma naukowych sposobów! Sekretarka przed chwilą przyniosła mi z biblioteki dziełko niejakiego profesora Freuda o snach. Znajdziemy objaśnienie, co oznacza „ministra w łaźni śnić" i będziemy mieli tę waszą chorobliwą podświadomość jak na talerzu.

Przez chwilę dyrektor szukał czegoś na końcu i na początku książki, aż wreszcie zniecierpliwiony machnął ręką i powiedział:

— Ktoś musiał wyrwać indeks. Zresztą nie na wiele wam się to przyda, bo i tak przyznaliście się do wszystkiego. Ale powiedzcie mi teraz skąd się wam wzięło, że podnieśliście na ministra witkę brzozową?

Urzędnik bezradnie wzruszył ramionami.

— Nie wiem, doprawdy nie wiem — odparł. — Pewnie stąd, że w łaźni obywatel podporucznik, to jest, przepraszam, pan minister bardzo lubił, żeby mu po grzbiecie przeciągnąć brzozową gałązką dla lepszego krążenia krwi. Sam chłopina krzyż nastawiał, tylko sobie nagość przykrywał cebrzykiem.

Dyrektor zsiniał.

— Dlaczegoście tego od razu nie powiedzieli? Jeżeli razem służyliście w wojsku... Można powiedzieć, towarzysze broni, he, he... Cieszę się kochany, że wasz sen był po prostu wiernym odbiciem chlubnej przeszłości. No, kiedy już się tak zgadało — to wiedzcie, że gdybyście chcieli pojechać do naszej dumnej stolicy, ucieszyć serce, powspominać pełen chwały szlak bojowy, zawsze możecie liczyć na otrzymanie delegacji.

Dyrektor uśmiechnął się kordialnie i zakończył:

— A tego kasjera Bujakiewicza pilnujcie się jak zarazy. Kopie pod wami dołki, przylatuje tu z językiem. Czasem takie bzdury wyplata, że aż skóra cierpnie. Ot, jak dziś na przykład z tym waszym snem. Całe szczęście, wszystko się wyjaśniło. Teraz już wiem, że mieliście prawo śnić do szczebla ministra. A jak będziecie w Warszawie, to przy okazji pozdrówcie tam wszystkich znajomych.

HORACY SAFRIN

FRASZKI

SŁUSZNIE...

„Kobiety nie bij nawet kwiatem!" Zgoda.
Czasem kobiety, czasem... kwiatu szkoda.

O STAŁOŚCI UCZUĆ

„Miłość — twierdzi moja mała —
to nie ondulacja trwała."

ŚWIEŻO UTLENIONEJ

Że-ć do twarzy włos jasny, to ci każdy powie.
Gdyby ci się tak jeszcze rozjaśniło w głowie!

NA DEWOTKĘ

Myśl jej, co stale w wysokościach hasa,
nie wie, co dzieje się poniżej pasa.

ZAKOCHANEJ ROZWÓDCE

Męża, którego los powtórnie śle ci,
nie nazywaj „aniołkiem", bo ci też — uleci!

WSPÓŁCZESNA „ZUZANNA W KĄPIELI"

Chętnie wynurza piersiątka i brzuszek,
gdy ją podgląda obleśny staruszek.

O MAŁŻEŃSTWIE HANI

Na list jej krótki, ujęty w dwa zdania:
„Wychodzę za mąż. Zrywam z Panem! Hania." —
odpowiedziałem w stylu urzędnika:
„Potwierdzam odbiór Pani o k ó l n i k a".

CENA MIŁOŚCI

Dyl przy kielichu rzekł raz do kamrata:
„Wiesz, dla kochanki straciłem dukata."
„A ja straciłem, bracie, rozum dla niej..."
„To znaczy, ciebie kosztowało taniej!"

KONFEKCJĘ,
OBUWIE,
TKANINY,
GALANTERIĘ SKÓRZANĄ,
GALANTERIĘ ODZIEŻOWĄ

oferuje w swoich sklepach

ŁÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLU ODZIEŻĄ

»OTEX«

otex

otex

44/k

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102 Telefony 652-41, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Zam. 1242. R-15. Nr indeksu 26762.